ŻYCIE

KATOLICKI TYGODNIK RELIGIJNO - KULTURALNY

Rok IV. | Londyn, niedziela 5 lutego 1950 | Nr.6 (137)

MARTA WINOWSKA

RECEPTA ŚWIĘTOŚCI

ISTNIEJE źle pojęta pokora, która boi się szczytów, gdyż boi się trudu. Czyż nie wygodniej usadowić się w dolinie z miłym samopoczuciem, żeśmy „tacy pokorni" i nie stać nas przecież na rywalizację" z gigantami"? Święci swoją drogą, a my swoją drogą. Oni z takiej gliny, a my z innej. Nie każdy przecież musi być odrazu alpinistą? Wystarczy przyglądać się ze zbożnym podziwem, jak wspinają się inni — siedząc na ławeczce.

Burżujski ideał „porządnego człowieka" przyćmił na długie lata palące, naglące, nieustępliwe jak sama miłość postulaty ewangelii. Miernota drapująca się w pokorę wciskała się wszędzie, nawet do klasztorów.. Gdy święta Teresa od Dzieciątka Jezus zwierzyła się raz przygodnemu spowiednikowi, że ma „wielkie ambicje" i chce „koniecznie być świętą", oberwała nielada jaką naganę, że pyszna, że zachciewa się jej gwiazdki z nieba, że przecież dość jeśli będzie „porządną zakonnicą"... Na szczęście Duch święty, który jak Kościół wyraźnie zapewnia w liturgii „sam jeden ją prowadził": „solus dux eius fuit" był innego zdania i porwał ją, jak orzeł swoje pisklę, na niebosiężny lot...

Pokora nie kłóci się z wielkodusznością i święci tym bardziej wierzą w miłościwą skuteczność Łaski, im głębiej we własną zwątpili. Ten ci jest ich sekret i stąd ich potęga. Nie z innej ulepieni gliny niż my, zawierzają bez reszty, z bezmierną ufnością ten kształt nieforemny w ręce Niezawodnego Snycerza, który w ziemię tchnął ducha, i wyprzeźroczył najbezradniejsze błoto. Boże w s z y s t k o i ludzkie n i c, bezdno zaślubione bezdnu („abysus abysum invocat"), krótkie spięcie bezmiaru z nicestwem, nędza jako argument wielkości: — oto świętość w znaczeniu katolickim. Nie żaden luksus czy przywilej wybranej garstki, ale prawo ze wszechmiar demokratyczne, bezapelacyjne i stanowcze; — to, co w potocznym języku nazywamy „psim obowiązkiem"...

Tak właśnie rozumiał świętość ktoś, kto dobrze się na niej znał i da Bóg wkrótce zostanie zaliczony do „speców" w tej materii: ojciec Maksymilian Kolbe.

Pytają mnie czasami Francuzi: „Dlaczego ma nazwisko niemieckie i nazywa się Maksymilian"

Odpowiadam wówczas: „Napewno sobie nie wybrał sam imienia zakonnego, ale to również pewne, że Opatrzność miała jakąś intencję kierując wyborem przełożonych. Czyż nie widzicie, że ten Boży szaleniec był w całym tego słowa znaczeniu „maksymalistą?" I że imię włączające ten superlatyw leży na nim jak ulane? Czyż nie wpadł na koncept — zresztą bez odrobiny animozji — żeby „przeskoczyć" nawet wielkiego Ignacego z Loyoli? „On powiada ad maiorem Dei gloriam ja zaś mówię: ad maximam..." I jakżeż nie miał być „Maksymilianem"

Człowiek, który nie znał granic... Gdy kochać, to bezgranicznie, gdy oddać się, to bez zastrzeżeń, gdy pracować, to do ostatniego tchu. Miarą miłości była mu zaiste miłość bez miary! Jakżeż więc dziwić się, że swoje dzieci zapraszał bez wyjątku na ostry rejs świętości? Żebyż to tylko zapraszał, ale żądał, ale pod świętym posłuszeństwem nakazywał! Ktokolwiek jest jego synem, dobrze wie, że mu do śmierci nie wolno usiąść na fotelu i powiedzieć sobie: „na dzisiaj dość". Gdyż nawet świętość mu nie wystarcza; jeśli być świętym, to **wielkim** świętym!

„Ja **żądam** od was — rzuca podczas zwykłej pogadanki tulącym się wokół, roześmianym braciszkom — żebyście w s z y s c y byli święci, słyszycie? wszyscy! i to nie jacy tacy, ale wielcy, bardzo wielcy święci!"

Taki oto zostawił im testament!

Ale program nie wystarcza: trzeba środków, by go zrealizować i jasnej świadomości, co go stanowi.

— Co to jest świętość, Ojcze Maksymilianie?

— Świętość, odpowiada, to coś bardzo łatwego. Kwestia zwykłej kalkulacji. Dajcie mi kawałek kredy, a wypiszę wam na tablicy formułę. Dość ją potem aplikować, żeby zostać wielkim świętym. Patrzcie: w = W.

Napisałem najpierw małe „w". Co to znaczy? M o j a wola. A potem napisałem duże „W". Co to znaczy? B o ż a wola. Jak te dwie wole ze sobą się skrzyżują, to wtedy jest krzyż, ciężki krzyż. Spróbuj jednak własną wolę z Bożą wolą zrównać a krzyż stanie się tobie bramą! Ta jest recepta świętości: moja wola z Bożą utożsamiona. Powiedzcież mi, proszę, czy jest „coś prostszego?"

Klerycy z klasztoru „dai Santi Apostoli" w Rzymie, którym Ojciec Maksymilian w drodze do Japonii, klarował tak pokrótce tajemnicę świętości nie byli jednak zupełnie jego zdania, że to „takie proste". „Stary człowiek", wiadomo, nie byle jak przeciw „nowemu" wierzga. Łaska z naturą niełatwe miewa przeprawy... Jak to zrobić, żeby naprawdę między moją wolą a Bożą wolą zaistniał znak doskonałej równości? W tym właśnie sęk!

„Wcale nie — woła Ojciec Maksymilian zlekka zaperzony — bo przecież w mojej kalkulacji mieści się nielada współczynnik, właśnie w Bożej Woli zakonspirowany: Niepokalana. Ona to nagnie twoją krnąbrną wolę w mądrą koleinę zamysłów Bożych, drogę wymości, za rękę poprowadzi. Rzecz tylko w tym, żebyś zawierzył się Jej bez reszty i bez granic, a ręczę tobie, że zostaniesz wielkim świętym, bardzo wielkim świętym... Nie ma takiego heroizmu, do jakiego nie bylibyśmy zdolni z Jej pomocą. Nie ma takiej ofiary, której z Jej łaską nie umielibyśmy dokonać. Musimy dać przykład, jak to się dla Niej żyje i umiera. Musimy pokazać jak łatwo — z Nią — zostać świętym.Dość być Jej własnością, w świętym posłuszeństwie... Robić rzeczy proste, najprostsze, tak jak by Ona je robiła. Kochać Boga tak, jak Ona Go kocha, Jej własnym sercem...

Słuchają młodzi, patrząc jak w tęczę w wychudłą twarz „małego Ojca". Jeden z nich pyta nieśmiało:

— Ojcze, z jakiej to książki możnaby się nauczyć tego wszystkiego, co Ojciec nam mówi?

— Moje dziecko, tego można się nauczyć tylko na kolanach...

Maria Winowska

GROMNICZNA

Śnieg tający na wietrze
zimną pachnie wierzbiną...
Niesiesz świętą Kukiełkę rozmokniętą drożyną...
Bogu Ojcu — dziedzica. Sobie — Stwórcę i Syna...
A na miedzy odwilżą
Poczerniała tarnina...

Jeszcze w rowach sen leży.
Jeszcze mroczno i pusto...
Całe świata Zbawienie otuliłaś wskos chustą...
W serca Twego pobliżu tak Mu ciepło, jak w dziupli...
Wiatr się w krzaku przewianym
pustym gniazdem zasuplił...

Łozom witki wilgotne
bura czerwień nasyca...
Po przeziębłej Ci ręce woskiem kapie gromnica
i pokłada się smugą cierń płomyka na wietrze...
Odwilż kopeć gromniczny
W poszarzały śnieg wetrze...

Już się oddal nad lasem
płową zorzą rozdarta...
Śpiesz-że Panno Posłuszna! Śpiesz-że Panno Ofiarna!
Dziś Ci serce rozorze lemiesz pierwszej boleści...
Choć jest luty, sok w korze
cierpko wiosną szeleści...

BEATA OBERTYŃSKA

ŁOTEWSKI TOWARZYSZ NIEDOLI

Z okazji pobytu Ks. Biskupa Sloskansa w Anglji

Przybył do Anglii, celem odwiedzenia tutejszych skupień katolików łotewskich X. Bp Sloskans, wygnany arcybiskup mohylowski.

Arcybiskupstwo mohylowskie, ongiś obejmujące tylko najdalsze kresy białoruskie Rzeczypospolitej, zostało następnie rozszerzone na cały poza dawnymi ziemiami polskimi, obszar imperium rosyjskiego i sięgało od Dniepru aż do Oceanu Spokojnego.

Arcybiskupstwo mohylowskie było największym terytorialnie arcybiskupstwem na świecie. Nie można go było podzielić na mniejsze jednostki z uwagi na antykatolicką politykę rządów carskich. Gdyby nie to, Rosja dzieliłaby się tak jak Stany Zjednoczone czy Australia na dziesiątki diecezji i archidiecezji, liczne polskie kościoły, rozrzucone po jej olbrzymich przestrzeniach i wywierające wpływ atrakcyjny na myślące i spragnione jedności kościelnej koła prawosławne, byłyby przekształcone na katedry. Los chciał inaczej. Rewolucja rosyjska zburzyła dorobek Kościoła polskiego w Rosji, a olbrzymie przestrzenie, gdzie tyle było katolickich świątyń, stały się z punktu widzenia katolickiego pustynią.

Arcybiskupi mohylowscy w ostatnim stuleciu rezydowali więcej w Petersburgu niż w Mohylowie, jeden z kościołów w Petersburgu nazwany był nawet katedrą. W chwili wybuchu rewolucji arcybiskupem-metropolitą mohylowskim był X. Ropp; znalazł się on po rewolucji w Polsce, zrezygnował więc ze swojej godności, a miejsce jego zajął dotychczasowy sufragan, X. arcybiskup Cieplak.

Został on, wkrótce po wojnie polsko-bolszewickiej, skazany przez władze sowieckie na śmierć w głośnym procesie. Wyrok zamieniony jednak został na długoletnie więzienie. Po paru latach X. arcyb. Cieplak został przez władze sowieckie wydany Polsce, wzamian za odsiadującego więzienie komunistę. (Przebywał potem w Rzymie. Jak wiadomo został mianowany w r. 1925 przez Piusa XI arcybiskupem wileńskim). Archidiecezja mohylowska była przez pewien czas osierocona, aż dopiero w r. 1926 delegat Stolicy Apostolskiej objeżdżający w tajemnicy Rosję, potajemnie wyświęcił na biskupa młodego księdza łotewskiego przebywającego w Rosji, X. Sloskansa. Nowy biskup był najmłodszym wiekiem biskupem na świecie.

Archidiecezja mohylowska miała dotąd, zarówno co do składu narodowego szerokich mas wiernych, jak i duchowieństwa, charakter przeważnie polski. Po niedawnej wojnie uznano za wskazane nie czynić Polaka głową Kościoła katolickiego w Rosji, mianowano więc do tego zadania syna Łotwy. X. biskup Sloskans — znający zresztą świetnie język polski i wychowany w polskiej kulturze — pełnił swoje obowiązki z wielkim poświęceniem i odwagą. I on jednak również nie uniknął sowieckiego procesu i długoletniego więzienia i łagru. W r. 1933 i on również opuścił Rosję, wydalony na Łotwę wzamian za skazanego tam komunistę. Przebywał na Łotwie do r. 1944 wykładając teologię moralną na wydziale teologii katolickiej uniwersytetu w Rydze. Pozostał jednak po dziś dzień prawowitym ordynariuszem archidiecezji mohylowskiej.

Wywieziony w r. 1944 przez Niemców, znalazł się na zachodzie i przebywa obecnie w Belgii. W czasie swej obecnej podróży do Anglii odprawił on dnia 22 stycznia mszę także i w kościele polskim na Devonia Road i odwiedził ośrodek wydawniczy „Veritas".

TADEUSZ PISZCZKOWSKI

TRZYSTOLECIE „OGNIEM I MIECZEM" (3)

OSSOLIŃSKI I WIŚNIOWIECKI

WIEŚĆ o buncie kozackim i świadomość katastrofalnego rezultatu pięknych marzeń przyspieszyła zgon Władysława IV. Cały ogrom odpowiedzialności spadł wtedy na barki kanclerza i trzeba przyznać, że w tym momencie okazał on niezwykłą przytomność umysłu przy lokalizowaniu klęski i likwidowaniu w miarę możności jej skutków. Najpierw starał się zapewnić sobie faktyczną władzę w państwie, co mu się udało wobec niewoli obu hetmanów koronnych Potockiego i Kalinowskiego oraz oddalenia od stolicy jego najpoważniejszych przeciwników, Wiśniowieckiego, wojewody ruskiego na Zadnieprzu oraz hetmana polnego litewskiego Janusza Radziwiłła na Litwie. Następnie postarał się o pozbawienie buntu pomocy z zewnątrz, w szczególności od Moskwy i od Turcji, co mu się również powiodło, gdyż w obu tych krajach nie orientowano się jeszcze w rozpaczliwej sytuacji Polski.

Dalszy i główny wysiłek Ossolińskiego poszedł w kierunku rozbrojenia Chmielnickiego zapomocą **ugody**. Cała ambicja kanclerza tkwiła w tym zadaniu, ani bowiem nie zrezygnował on jeszcze całkowicie z dawnych zamysłów króla i swoich, ani nie chciał publicznie uznać błędów swojej polityki. Uznaniem takim byłoby użycie całej siły państwa dla zgniecenia buntu, przyczem groziło ujawnienie własnych konszachtów kanclerza z kozakami. Do tego liczyć się wówczas należało z przejściem władzy w ręce prawdziwego wodza i to nie tylko nad wojskiem, na czas bezkrólewia, a wodzem tym w braku hetmanów nie mógł by być nikt inny, tylko Wiśniowiecki, z którym zdawna dzieliła Ossolińskiego animozja.

Przenosząc więc ambicję własną nad wzgląd na ogólne interesy, podjął kanclerz w dalszym ciągu ryzykowną grę polegającą z jednej strony na zatajaniu wobec stanów Rzeczpospolitej straszliwej prawdy o wypadkach na Ukrainie, z drugiej zaś strony na prawdziwie „heroicznych" zabiegach wobec Chmielnickiego o ugodę, które porównać można tylko do ugodowej akcji Chamberlaina wobec Hitlera za naszych czasów. Zabiegi te, podejmowane głównie za pośrednictwem dyzunickiego magnata Kisiela, naiwnego polityka, choć zręcznego mówcy parlamentarnego i dyplomaty, zawiodły. Rozzuchwalony powodzeniem Chmielnicki niby to chciał ugody i przyjmował obietnicę „ukontentowania" kozaków, naprawdę jednak zwlekał z decyzją, a tymczasem nie chciał, czy też nie mógł powstrzymać dalszej rebelii i terroru. W listach wykrętny, w bezpośrednich kontaktach zuchwały, Chmielnicki znając przez agentów w Warszawie i sam odgadując zaślepienie swoich kontrahentów, igrał z kanclerzem, Kisielem i całą Rzeczpospolitą, szykując się do przeniesienia pożogi w głąb Polski.

Wtedy to pojawił się na widowni Wiśniowiecki, który przedarłszy się z Zadnieprza ze swoim wojskiem, stanął na Wołyniu naprzeciw rozszerzającego się buntu, osłaniając resztę kraju.

Wiśniowiecki nie był człowiekiem bez skazy, jakimś drugim Żółkiewskim czy Koniecpolskim. Dotychczas wsławił się głównie pomnażaniem swej fortuny „prawem i lewem", oraz zwycięstwami nad kozakami w dwóch ostatnich ruchawkach, chociaż miał też chlubniejsze karty z walk z Tatarami i Moskalami. Szczególnie miał na pieńku z tymi ostatnimi, którymi pogardzał jako gorszą, mniej cywilizowaną Rusią, on, ruski magnat, którego przodkowie osadzali na tronie moskiewskim samozwańców. Stąd to Władysław IV posłowi moskiewskiemu, który uskarżał się, że Wiśniowiecki w lasach koło swojego Rumna, ale już na terytorium moskiewskim, wyrębuje „drogę do Moskwy", odpowiedział żartobliwie, że „lepsze ma Wiśniowiecki prawo do Moskwy, niż car do Rumna".

Wiśniowiecki był typowym wielmożą kresowym, z rodziny prawosławnej, po matce Mohilance blisko spokrewniony z głową cerkwi prawosławnej w Polsce, metropolitą kijowskim Piotrem Mohiłą. Ale żonaty z Zamoyską, wnuczką wielkiego Jana i nawrócony na katolicyzm przez Jezuitów, był sam Jeremi żarliwym katolikiem i ostoją katolicyzmu na Rusi. Ten dumny i niesforny Rusin, czuł się przecież senatorem Rzeczpospolitej i miał większe poczucie godności narodowej, niż rdzenny Polak, (ale wychowany przez Jezuitów w Austrii), jakim był Ossoliński. Na wiadomość o układach z Chmielnickim, buntownikiem i wspólnikiem Tatarów, pisał Wiśniowiecki w liście do Kisiela: „Jeżeli za zniesieniem wojska kwarcianego i pobraniem hetmanów do niewoli kontentację otrzyma Chmielnicki i przy dawnych wolnościach zostawać będzie, z tem hultajstwem, ja w tej ojczyźnie wolę nie żyć i nam lepsza rzecz umierać, anieżeliby pogaństwo i hultajstwo miało nam panować".

Jak wiadomo, Wiśniowiecki nie słuchając wezwań Kisiela i Ossolińskiego, aby powstrzymał się od starć z Kozakami wobec wszczętych rokowań, widząc w nich tylko taktyczną grę Chmielnickiego, kiedy zagony kozackie nie przestawały posuwać się na zachód i na północ, stanął w poprzek temu pochodowi rebelii, staczając szereg potyczek z nieprzyjacielem. Jeżeli nie wstrzymał go zupełnie w tych walkach, to przynajmniej podniósł upadającego ducha wśród Polaków. Brakło wszakże króla, hetmani byli w niewoli, regimentarze powołani w ich miejsce przez sejm konwokacyjny za wpływem Ossolińskiego — „pierzyna, łacina i dziecina" — byli prawdziwym urągowiskiem, gdy widmo straszliwego buntu, potworne wieści o jego objawach, siały panikę równą grozie najazdów tatarskich za Wstydliwego.

Niektórzy historycy polscy, jak np. Szajnocha, okazujący niezrozumiałą słabość dla Chmielnickiego, potępiają Wiśniowieckiego za tę rzekomą samowolę, widząc w niej przyczynę niepowodzenia prób ugodowych, powołując się przy tym na zdania samego Chmielnickiego i Krzywonosa. Tymczasem było im wiadomo, o czym nie wiedzieli wtedy Ossoliński ani Kisiel, że przyczyną skłonności ugodowej Chmielnickiego i jego postoju w Białej Cerkwi było odejście Tatarów, którzy musieli się cofnąć na rozkaz Turcji. Rozkaz ten był odpowiedzią na groźne upomnienie Rzeczpospolitej na pierwszą wieść o porozumieniu tatarsko-kozackim, które uczyniło jeszcze takie wrażenie w Carogrodzie, że poseł tatarski donoszący o zwycięstwie korsuńskim został przepędzony kijami. Ale w czerwcu 1648 nastąpił przewrót pałacowy, przyjazny Polsce wezyr został zamordowany (wraz z sułtanem), a nowy wezyr po pewnych wahaniach zaakceptował ligę tatarsko-kozacką przeciw Polsce.

Chmielnicki nie prędzej też zerwał ostatecznie rozmowy z Kisielem, aż mógł się z powrotem połączyć z Tatarami. Nastąpiło to na parę dni przed bitwą piławiecką. Dwumiesięczne zaś rokowania umożliwiły Chmielnickiemu zachwianie wszelkiej gotowości wojennej i przezorności u Polaków, izolując Wiśniowieckiego i wszystkich zwolenników stanowczej akcji, dając mu w rezultacie nowe zwycięstwo, właściwie bez bitwy, pod Piławcami.

Srom piławiecki skompromitował nie tylko niefortunnych regimentarzy Zasławskiego, Ostroroga i młodego Koniecpolskiego, ale także i Ossolińskiego, ktory ich rozmyślnie narzucił, który konsekwentnie odsuwał najlepszego kandydata na wodza, Wiśniowieckiego i wciąż kazał wierzyć w ugodowość Chmielnickiego. Nowy sejm, który się zebrał w stolicy w dwa tygodnie po „piławieckiej", odrazu powierzył wielką buławę kor. Wiśniowieckiemu, którego popularność wzrosła wtedy do zenitu.

Od tej chwili i aż do bitwy beresteckiej w r. 1651 zatarg z kozakami nabrał poniekąd zewnętrznej cechy prywatnej walki pomiędzy Chmielnickim a Wiśniowieckim. Przy każdej okazji, w ciągu pertraktacji ze słabym Janem Kazimierzem, najpierw kandydatem do korony a później królem, jednym z głównych warunków kozackich będzie odebranie buławy Wiśniowieckiemu. I stale będzie Chmielnicki powtarzał, że zawsze był skłonny do ugody, tylko mu Wiśniowiecki przeszkadzał, „bo ludzi ścinał, bił i mordował" — że jego to gonił pod Piławce i pod Lwów i że za nim wyruszył aż pod Zamość, „mając pewną wiadomość, że książę Wiśniowiecki znowu wojsko zbiera, żeby z kozakami wojować".

Wiśniowiecki bowiem był od zgonu Koniecpolskiego jedynym wodzem mogącym porwać za sobą pospolite ruszenie szlachty oraz zapanować nad demoralizacją wojsk po strasznych klęskach. Dla żołnierzy którzy instynktownie wyczuwają prawdziwego wodza, był Wiśniowiecki bożyszcze — i nie chcieli bić się pod innym dowództwem. Tak było pod Piławcami i pod Zbarażem. Nawet chorągwie litewskie stojące na Polesiu odmawiały posłuszeństwa swoim dowódcom, chcąc iść pod Wiśniowieckiego. Był on niezawodnie jedynym człowiekiem, zdolnym przypomnieć tak niedawną chwałę oręża polskiego i stłumić bunt. Przyznawał to sam Chmielnicki w liście do chana informując, że po otrzymaniu buławy książę „gotował się uderzyć w czasie największej zimy na kozaków, kiedy rozpuszczeni, znużeni, bez pomocy tatarskiej stawić czoła nie byliby w stanie". Ten plan zimowej kampanii, który podjęty przez oba wojska, koronne i litewskie, mógł przywrócić pokój jeszcze zimą 1648 r., sparaliżował Chmielnicki zawierając z Janem Kazimierzem chwilowy rozejm. W tym też czasie nowy król, aby zadowolić Chmielnickiego i zarazem ukarać księcia za to, że popierał kandydaturę młodszego królewicza, odebrał mu buławę oddając dowództwo nad wojskiem nowym regimentarzom.

Na wiosnę jednak rozpoczęła się na nowo wojna — i Chmielnicki, znowu połączywszy się z Tatarami, wyruszył na Polskę. Tym razem jednak został zatrzymany pod Zbarażem, gdzie regimentarze sami, porwani zapałem jaki w całym wojsku wzbudzał Wiśniowiecki, oddali mu się pod dowództwo. Wspaniała epopeja Zbaraża, do której Sienkiewicz w swojej powieści nie potrzebował niczego dodawać, uczyniła Wiśniowieckiego bohaterem narodowym, pojednała go z królem, a przede wszystkim uratowała **morale** Rzeczpospolitej, skażone pod Piławcami. Była wstępem do nowego wielkiego zwycięstwa, niestety niewykorzystanego, pod Beresteczkiem.

Z chwały, którą Wiśniowiecki zdobył pod Zbarażem i jeszcze powiększył pod Beresteczkiem, wyrosła legenda, która go przeżyła. Umarł z trudów bojowych niemal nazajutrz po tej ostatniej bitwie, ale wspomnienie jakie pozostawił w narodzie, samo jedno wystarczyło, by jego syn, który niczem się nie odznaczał i nic nie posiadał, zasiadł na tronie polskim.

Tadeusz Piszczkowski

WŚRÓD KSIĄŻEK

OPTYMIZM ZDEMASKOWANY

„Był na polu bitwy równie odważny co Ney, ale inteligentniejszy; miał impet Murata, ale był od niego bardziej zrównoważony; precyzją i elastycznością taktyki przypominał Wellingtona" — oto wyrok marszałka Wavella o jego zwycięskim przeciwniku z pustyni libijskiej, Rommlu.

Świeżo ukazała się o tym najbłyskotliwszym z marszałków Hitlera książka napisana przez bryg. Desmond Young'a, który jako jeniec Rommla nabrał wysokiego wyobrażenia o jego rycerskości. Książka ta skłoniła Wavella, któremu „nieobliczalność" Rommla poważnie pokrzyżowała szyki w czasie wiosennej inwazji na Grecję w r. 1941, by poddać rewizji rozpowszechnione przekonanie, że Rommel był tylko rąbajłą. „Możemy być radzi — pisze — że to Hitler a nie Rommel kierował strategią osi". W przeciwieństwie do Hitlera i najwyższego dowództwa niemieckiego, Rommel całkowicie doceniał znaczenie Bliskiego Wschodu dla obrony brytyjskiej i był zdania, że nie wolno atakować Rosji przed odniesieniem zwycięstwa na tym teatrze wojny. Rady jego nie posłuchano, a gdy przewidując nieuniknioną klęskę, żądał wycofania Africa-Korps spod Alamein i wogóle z Afryki, Hitler kazał mu „zwyciężyć albo zginąć".

Ofensywa w Ardennach także wyglądałaby zapewne inaczej, gdyby dowodził nią Rommel. Ale Rommel od dwóch miesięcy już nie żył. Chociaż nie był zamieszany w spisek na życie Hitlera, spiskowcy uważali go za najpoważniejszego kandydata na następcę Hitlera. Jego ogromnej popularności w Niemczech nie zaszkodziła klęska w Afryce. Hitler zląkł się tej popularności i kazał się Rommlowi otruć albo stanąć przed sądem. Rommel nie wierzył, by mu pozwolono dojechać cało do Berlina i pragnąc ratować rodzinę, zażył truciznę.

Jest rzeczą charakterystyczną dla Wavella, że podoba mu się u Rommla jego zrozumienie dla „cywilnych" cnót. Rommel miał powiedzieć o Włochach: „Zepewne, na wojnie nie wiele są warci, ale nie trzeba sądzić wszystkich tylko według ich kwalifikacji na żołnierzy; inaczej nie byłoby cywilizacji". Przytem jednak Wavell wciąż jeszcze nie przyzwyczaił się, że wysyłanie wybitnych ludzi „do szpitala" (zwłaszcza, gdy „chorego" sprowadza się do szpitala w Niemczech aż spod Aleksandrii!) nie ma w systemach totalnych tego samego znaczenia co gdzie indziej. Stąd jego podziw dla „odwagi i lojalności" Rommla, gdy ten po otrzymaniu w szpitalu rozkazu wyjazdu pod Alamein nie zwleka i już następnego dnia o świcie wyrusza w podróż, ma posmak naiwności.

*

W Sztutgarcie wydano książkę o szefie hitlerowskiego wywiadu Canaris'ie (Union Deutsche Verlagsgesellschaft), z której wynika, że nie brał on udziału w spisku na życie Hitlera w lipcu 1944 chociaż już od r. 1938 pragnął usunięcia Hitlera od władzy i nigdy nie wierzył w zwycięstwo Niemiec. Był on aresztowany, torturowany i zabity za osłanianie kilku swoich podwładnych zamieszanych w spisek. Od r. 1942 powtarzał, że Niemcy mogą się pozbyć Hitlera tylko przez klęskę.

Syn zamożnego przemysłowca, Canaris wstąpił za młodu do marynarki i pod koniec pierwszej wojny światowej był oficerem wywiadu. Po wojnie należał do oddziałów marynarki, które zlikwidowały powstanie Spartacusa w Berlinie, a potem był zamieszany w zamordowanie Liebknechta i Róży Luksemburg. Przeszedł następnie normalną karierę oficerską aż w r. 1935 został szefem niemieckiego wywiadu. Na tym stanowisku przyczynił się do zwycięstwa gen. Franco w Hiszpanii. Umiał unikać konfliktów z Gestapo, ale niebawem zorientował się, że hitlerowcy są bandą przestępców. Heydrich zażądał od niego pewnego dnia fałszywych dowodów współpracy pewnych generałów sowieckich z Niemcami. Canaris odmówił. Heydrich sam sporządził te dowody i za pośrednictwem wywiadu czeskiego dostarczył je Stalinowi. Canaris następnie odmówił dokonania zamachu na życie gen. Giraud, gdy ten miał lecieć z Lizbony do Londynu.

Chociaż wciąż opierał się Gestapo, Canaris panicznie bał się tej gwardii Himmlera, a zwłaszcza Heydricha. Wobec Hitlera Canaris był zupełnie bezradny. Autorzy książki o nim przedstawiają go jako ofiarę pruskiej obowiązkowości w państwie, w którym politykę robią gangsterzy.

*

Dawno przestaliśmy wierzyć, że istotą historii jest postęp ku coraz to większej wolności człowieka, mimo to nie potrafimy wrócić do poglądu starożytnych Greków, że historia ludzkości jest tylko dalszym ciągiem historii naturalnej, bo pogląd ten przeczy sensowi historii. Między bałwochwalczym optymizmem teorii postępu a beznadziejnym pesymizmem naturalizmu trzeba znaleźć drogę pośrednią, która oddałaby sprawiedliwość zarówno sensowi jak i tajemniczości życia. Lament Wells'a, że nieszczęścia, jakie spadły na świat, są skutkiem odwrócenia się ludzkości od drogi ku socjalistycznej utopii, znajduje odpowiedź w demonstracji A. Huxley'a, który wykazuje, że świat popadłby w znacznie większe nieszczęścia, gdyby tą drogą był poszedł do końca. Coprawda, rozpacz nie jest powszechna: zadufani w sobie zbawiciele faszystowscy i komunistyczni wciąż jeszcze mogą liczyć na łatwowierność mas.

Taki obraz sytuacji duchowej naszych czasów szkicuje Reinhold Niebuhr w swojej nowej książce „Wiara i Historia" (**Faith and History**, wyd. Nisbet, cena 16 s) przeciwstawiając zarówno pesymizmowi jak zadufaniu w sobie chrześcijańską eschatologię, która nie popełnia błędów ani współczesnego pesymizmu ani optymizmu. Pesymizm przeocza godność człowieka, a optymizm nie zauważa, jak trudno na nim polegać. Nowy Testament wiąże wszystkie antynomie i sprzeczności życia w sensowną całość i otwiera drogę odrodzeniu człowieka. Miłość chrześcijańska jest równie daleka od mistycznego samozniszczenia jak i od sentymentalnego moralizmu. Mistycyzm znalazł najlepszy swój wyraz w literaturze, a szkodliwość moralizmu była neutralizowana przez to, że szczerość i dobra wola jego wyznawców poprawiały teorię w praktyce.

„Nowoczesne chrześcijaństwo liberalne nieraz usiłowało zamienić cierpienie i poświęcenie w czystą możliwość, która traciłaby swój charakter poświęcenia i stawała się coraz skuteczniejsza w miarę jak coraz więcej ludzi by ją praktykowało". W ten sposób miłość chrześcijańska staje się środkiem do celu, czym pod żadnym pozorem być nie może. Kiedy zaczynamy mówić, że miłość to najlepsza polityka, zaczynamy miłość zniepráwiać i wpadamy w ślepą ulicę sentymentalizmu. Miłości chrześcijańskiej nie można określać przez nic innego, to przez nią lub przez negowanie jej określa się wszystko inne. Miłość chrześcijańska nadaje historii sens, co więcej, to ona umożliwia „transfigurację historii", która nie byłaby ani zaprzeczeniem historii przez ucieczkę w świat idei ani zakończeniem historii przez entropię, tj. na skutek słabnięcia siły promieniotwórczej słońca. Zapewne, natury tego przeistoczenia historii nie możemy jeszcze zrozumieć, ale do niego odnoszą się słowa o „dopełnieniu Zakonu".

DOUGLAS WOODRUFF

FILM W PORZĄDKU CHRZEŚCIJAŃSKIM

Douglas Woodruff, redaktor londyńskiego „The Tablet", należy do najwybitniejszych publicystów katolickich Anglii. Niniejszy artykuł napisał dla kwartalnika Międzynarodowego Katolickiego Biura Filmowego (O.C.I.C.) „International Film Review", wydawanego w Belgii w trzech wersjach: angielskiej, francuskiej i hiszpańskiej. Przekład ten zamieszczamy za zgodą redakcji i autora.

Film, jak żadna inna sztuka, pozwala odtwarzać środowisko. Żadna inna sztuka nie daje tak dokładnego pojęcia, co to znaczy żyć w odległych miejscach lub w zamierzchłych czasach, co to znaczy wydzierać żywność glebie dalekiego Zachodu, dżunglom podtropikalnym czy lodom arktycznym. Film może pokazać rzeczywisty nacisk środowiska materialnego na proletariusza przedmieść paryskich czy włoskiego chłopa. To jest możliwość całkiem nowa. Szekspir żądał od swoich widzów, by wysilili swoją wyobraźnię i zamieniali sobie scenę teatru Globe na pobojowisko pod Agincourt, a w jego sztukach historycznych, tak pełnych rozstrzygających bitew, wojna jest przedstawiona przy pomocy kilku wyrwanych potyczek wręcz, jedna w tym, druga w tamtym rogu pola bitwy. To coprawda nie miało wielkiego znaczenia ani dla Szekspira ani dla jego widzów, bo tym, co pochłaniało całkowicie ich uwagę, był konflikt silnych charakterów rzuconych na pastwę potężnych pokus, ambicji, skąpstwa i zemsty. Ale w naszych czasach, po tylu rozmyślaniach nad rolą środowiska i otoczenia, gdy w dodatku nie rządzą nami interesy dynastyczne, ale problemy społeczne, powinniśmy być wdzięczni za wynalazek, który tak świetnie pozwala nam rozumieć kontekst, w jakim toczyło się lub toczy życie innych ludzi, dawno zmarłych lub nam współczesnych.

Jeżeli dziś tak trudno stworzyć chrześcijański porządek międzynarodowy, przyczyna tkwi w tym, że tak długo żyliśmy w izolacji. Jesteśmy wytworami bardzo określonych dziejów narodowych i sam nasz internacjonalizm jest po prostu nietolerancją: na cudzoziemców patrzymy poprzez nasze własne doświadczenia i przykładamy do nich nasze własne miary, skutkiem czego uważamy ich za zacofanych albo gatunkowo niższych i niecywilizowanych. Szczególną skłonność do tego okazują Anglicy zapominając o przywilejach, jakie zawdzięczają swemu wyspiarstwu. Dzieje Anglii były znacznie mniej militarne niż dzieje innych krajów. Rząd w Anglii był więc mniej zmilitaryzowany, nie wywodził się z armii — cesarze są imperatorami, głównodowodzącymi armii — przyzwyczaiło to Anglików do żądania wyższego poziomu konstytucjonalizmu niż ten, który spotykaliśmy u obcych. Doświadczenie historyczne brytyjczyków i Amerykanów było przede wszystkim rolnicze i kupieckie, podczas gdy większość narodów świata miała historię w zasadzie militarną, zaprzątniętą obroną granic tak, że ich życie społeczne musiało odzwierciadlać panowanie klasy wojskowej. Są to głębokie różnice wytworzone przez historię i stanowiące o stopniu osiągnięcia tego, co Anglicy przywykli uważać za demokrację. Nawet chrześcijanie mają dziś skłonność, zastanawiając się nad współwyznawcami, stawiać sobie przede wszystkim pytanie: „Czy są oni demokratami?" Film może Anglikom ułatwić zrozumienie prawdy, że ludzie mogą być bardzo niedoskonałymi demokratami według angielskich kryteriów politycznych, a równocześnie mogą okazać się znacznie lepszymi chrześcijanami niż Anglicy. Film może nam pokazać, że cywilizacja istniała przed demokracją i że poszanowanie prawa, rządy prawa, a więc to, co jest istotną cechą społeczeństwa cywilizowanego, wszędzie były wielką zdobyczą Kościoła.

Film szczególnie przekonywująco przedstawia momenty historyczne. Żałuję tylko, że w tak pięknym filmie jak „Monsieur Vincent" sceny Frondy są tak krótkie i niezrozumiałe jeśli się nie zna historii, a to dla tego, że jedną z wielkich nauk jakich udzielają nam dzieje, jest kruchość warstwy oddzielającej życie cywilizowane od anarchii gwałtownych namiętności. Zdarzają się okresy, gdy ludzie najbardziej cywilizowani bywali i musieli być najbardziej arbitralni, ustanawiając i utrwalając fundamentalny autorytet Kościoła i Państwa. Tak było np. w ciemnych wiekach średnich. Były znowu inne czasy, gdy działalność cywilizująca wyrażała się w ruchach łagodzących i zmniejszających wpływ władzy. Takie były wielkie ruchy liberalizujące ekonomię i politykę w łonie społeczeństw ustabilizowanych, które jednak musiały naprzód powstać i umocnić się zanim można było myśleć o odebraniu im surowości i nadaniu cech bardziej ludzkich. Wydobycie tej względności jest jednym ze sposobów, którymi film może przyczynić się do rozszerzenia horyzontów ludzi, którzy — pozostawieni samym sobie — mieliby skłonność do oceniania przeszłości i teraźniejszości zbyt ciasnymi miarami wytworzonymi przez ich własne doświadczenie.

Jeżeli lekcja historii polega głównie na uprzytomnieniu ludziom, jak różne może być życie, to możliwości filmu pozwalają mu przysłużyć się jedności świata czymś może jeszcze bardziej wartościowym — uzmysłowieniem ludziom, że człowiek jest zawsze i wszędzie istotą moralną wystawioną na pokusy i że najbardziej istotną cechą świata z punktu widzenia człowieka jest to, że stanowi on widownię nieustannego moralnego wyboru. Pamiętamy czasy, kiedy Chińczycy i Meksykańczycy mogli się uskarżać, że dostarczają filmom amerykańskim zbrodniarzy ponad wszelką miarę, co niewątpliwie zmusiło publiczność amerykańską do wytworzenia sobie zupełnie fałszywego obrazu Chin i Meksyku. Takie protesty są pożądane, bo świadczą, że istnieje jakiś wspólny kodeks. Natomiast źle jest, gdy jedni uważają za cnotę co dla innych jest grzechem, np. gdy Nietzsche szydzi z chrześcijańskiej cnoty litości. Musimy bowiem zdać sobie sprawę, że istnieją wykrzywienia zmysłu moralnego i że budowanie międzynarodowego porządku chrześcijańskiego trzeba rozpocząć od bardzo elementarnych nawróceń w różnych częściach świata, a nietylko wśród ludożerców na Borneo. Tym, do czego możemy obecnie rzeczywiście dążyć, jest coś znacznie ciaśniejszego niż chrześcijański porządek świata. Możemy mieć nadzieję, że kraje i narody stworzone między rokiem 300 a 1500 przez Kościół Katolicki, zarówno katolickie jak i protestanckie, wraz z terytoriami od nich zależnymi, narody, które rozszerzyły cywilizację europejską poza Europę, coraz lepiej będą rozumiały, że w najgłębszym sensie stanowią one w istocie jedno społeczeństwo kierujące się tymi samymi pojęciami dobra i zła. Film może do tego dopomóc i nauczyć ludzi przede wszystkim, by nie sądzili innych pohopnie, gdy się przekonają jak odrębne było doświadczenie historyczne każdego narodu i że musiało ono wycisnąć na narodach niezatarte ślady a nieraz i głębokie piętno.

Douglas Woodruff

International Film Review, nr.3/1949

JAN WEPSIĘĆ

PRASA BRYTYJSKA I JEJ CZYTELNIK

ZAGADNIENIE czytelnika prasy brytyjskiej jest przedmiotem ostatnio wydanej książki pt. „P r a s a i j e j c z y t e l n i c y".1) Autorzy ograniczyli swe obserwacje do dzienników krajowych porannych, tzw. national dailies, wieczornych, niedzielnych i prowincjonalnych. Poza obrębem badań są tzw. magazyny i tygodniki. We wnioskach autorzy ograniczyli się do stwierdzeń statystycznych, socjologom pozostawiając wyjaśnienie wzajemnych zależności w zakresie różnorodnych zjawisk czytelnictwa prasy.

Celem omawianej publikacji jest wykazanie, jaki procent ludzi czyta prasę, co ludzie czytają i co ich najbardziej interesuje, jak dzienniki zaspakajają potrzeby swych czytelników, jaki wpływ ma prasa na czytających.

Charakter wymienionych zagadnień wskazuje na to, że opublikowane studium musi opierać się na materiale statystycznym. Uzyskali go autorzy poprzez wywiady ustne, pisemne odpowiedzi na ankiety, przez obserwację czytelników w czytelniach publicznych, kolejkach, autobusach. Materiał statystyczny był zbierany w kilku dzielnicach Londynu, Bolton, Birmingham, Bristol i w wioskach hrabstwa Essex. Co do wyboru ośrodków można, zdaje się, mieć zastrzeżenie, czy dają one przeciętny przekrój czytelnika prasy.

Ale czas, by przyjrzeć się zagadnieniom, które są przedmiotem książki.

Rozważania na temat czytelnictwa poprzedzili autorzy szeregiem uwag o tych, którzy prasy nie czytają. Ich liczba jeśli chodzi o gazety codzienne wynosi 13 procent ogólnej liczby osób objętych badaniem, a zmniejsza się do 8 procent, jeśli chodzi o gazety niedzielne. Wpływ nieczytania prasy (w ciągu tygodnia) wyraża się odmiennym profilem zainteresowań jednostki. Nieczytelnik wykazuje w porównaniu z czytającym prasę codzienną znacznie mniejsze zainteresowanie we wszystkich dziedzinach życia kulturalnego, z wyjątkiem religii i spraw klubowych, którymi raczej góruje nad przeciętnym czytelnikiem. Rysem szczególnie znamiennym jest to, że nieczytający gazet wykazują też mniejszą tendencję do czytania książek, słuchania radia i nie mają żadnych zainteresowań pozwalających na spędzenie czasu poza pracą. Zupełnie co innego stwierdza się, gdy analizuje się grupę ludzi nieczytających gazet n i e d z i e l n y c h. Ta grupa wykazuje wyższe niż przeciętne zainteresowanie zagadnieniami intelektualnymi, polityką, pracą społeczną, religią, muzyką klasyczną. Natomiast zainteresowanie tej grupy tańcem, filmem, chodzeniem do pub'u jest niższe od przeciętnego.

Przyczyną nieczytania prasy w ciągu tygodnia jest — według samych nieczytających — brak czasu, mieszkania, zły wzrok, brak zainteresowania. Jeśli zanalizuje się te wypowiedzi głębiej — to przyczyn zjawiska nieczytania trzeba doszukiwać się głównie w braku zainteresowania, spowodowanego przeważnie brakiem wykształcenia. Przyczyna zaś nieczytania prasy niedzielnej jest zupełnie inna: Prasa niedzielna stosunkowo dużo miejsca poświęca plotkom i sensacji, co nie pociąga ludzi bardziej wykształconych.

Czego c z y t e l n i k szuka w prasie, co go w niej interesuje? Są to wiadomości, w szerokim znaczeniu tego słowa, owe news'y i komentarze od redakcji. Nie można tego powiedzieć o wszystkich czytelnikach, ale jedynie o ich większości. Tak np. tylko 87 procent czytelników „Daily Telegraph" czyta wiadomości, a jedynie 53 proc. czytelników „Daily Mirror". Gdy wśród czytelników wiadomości wyodrębni się grupę, która nie tylko czyta, ale podkreśla, że lubi je czytać, to dla „Daily Telegraph" wynosi ona 47 proc. czytelników, a dla „Daily Mirror" tylko 17 procent.

Ze stopniem zainteresowania wiadomościami jest związana ilość miejsca, jakie przeznaczają im redakcje, które chcą dać czytelnikowi to, czego on szuka w prasie. Najwięcej miejsca wiadomościom poświęca „News Chronicle", bo 34.12 procent, zaś „Daily Herald", „Daily Express", „Daily Telegraph", „Daily Mail" około 29 proc., „Daily Graphic" tylko 24 procent.

Dane te nie są wskaźnikiem zainteresowania wiadomościami w pismach niedzielnych. Jest ono znacznie mniejsze i redakcje znacznie mniej miejsca przeznaczają tak na wiadomości jak i na komentarze redakcyjne.

Zainteresowanie wiadomościami sportowymi jest mniejsze niż sądzi się powszechnie. Zaledwie jedna czwarta czytelników czyta stale wiadomości i artykuły sportowe; jeden na dwóch czytelników tej grupy podkreśla, że lubi czytać wiadomości sportowe. Dalsza jedna czwarta nie czyta nigdy tych wiadomości, a pozostałe dwie czwarte czytelników czytają nieregularnie. Jest to dział którym interesują się głównie mężczyźni.

Kobiety wynagradzają to sobie czytaniem listów do redakcji, owych „Live Letters" i „Viewpoint" w „Daily Mirror". Pod tym względem pismo to jest jedyne i 36 procent jego czytelników czyta właśnie te listy, a 29 proc. akcentuje, że je lubi. Z pism niedzielnych podobnym charakterem wyróżnia się „Sunday Express".

Korykatury, które są specjalnością dzienników porannych, są oglądane przez około 20 proc. czytelników, ale tylko 10 proc. czytających lubi je oglądać. Ponieważ jedynie 3 proc. oświadcza, że ich nie lubi można przypuszczać, że reszta czytelników tj. około 77 proc., ogląda je nieregularnie. Te ogolne dane zmieniają się bardzo, w odniesieniu do poszczególnych dzienników. I tak 25 proc. czytających „Daily Graphic", 20 proc. — „Daily Mail", a 13 proc. — „Sunday Express" ogląda stale karykatury. Rysunki i karykatury są lubiane przez dzieci i takie dzienniki, jak „Daily Graphic", „Daily Mail" czy „Sunday Express" są często kupowane ze względu na dzieci.

Wiele z tego, co mówiliśmy o karykaturach, można odnieść do ilustracji, które stanowią przedmiot zainteresowania dla jednej trzeciej czytelników „Daily Graphic", jednej szóstej czytelników „Daily Mirror".

Na podstawie wypowiedzi czytelników można ustalić cechę wyróżniającą poszczególne pisma. Jest nią bądź to nacisk na wiadomości i artykuły od redakcji, jak np. w „News Chronicle", bądź to wiadomości sportowe, jak znowu „News Chronicle" czy „Daily Express", listy czytelników do redakcji, jak „Daily Mirror" i „Sunday Express", rysunki, karykatury, jak „Daily Mirror", opisy i przeglądy — tzw. feature articles, jak „Daily Mail" czy „Observer", ilustracje, jak „Daily Graphic". Jakaś jedna cecha czy zespoły tych cech nie tylko wyróżniają dane pismo, ale pod względem psychologicznym stanowią jeden z wielu czynników decydujących w wyborze pisma przez czytelnika.

Trzeba jeszcze wspomnieć o zagadnieniu wpływu prasy na czytelnika.

Dla zbadania tego zagadnienia Mass Observation przeprowadziło kilka specjalnych pomiarów. Analiza wyników tych pomiarów doprowadziła autorów do wniosku, że wpływ ten istnieje jedynie w wyniku długiego oddziaływania linii politycznej pisma i że wzrasta tym bardziej im związek danego konkretnego problemu z życiem jednostki jest luźniejszy i odwrotnie: im ściślejszy związek danego problemu z życiem jednostki, tym mniejszy wpływ prasy. Potwierdza to pomiar odnośnie ustosunkowania się do planu pomocy Marshalla. 62 proc. czytelników „Daily Express" zgadzało się z planem pomocy Marshalla, 26 proc. nie miało wyrobionego zdania, a jedynie 12 proc. zajęło stanowisko niechętne temu planowi, tj. poszło po linii zajętej przez redakcję tego pisma. Inne pomiary w sprawach mniej interesujących jednostkę wskazują, że różnice między stanowiskiem redakcji a stanowiskiem czytelników są znacznie mniejsze.

Fakt istnienia omawianych ostatnich różnic nasuwa pytanie o stopień, w jakim czytelnicy popierają ogólne stanowisko zajęte przez pismo. Ogólnie można powiedzieć, że jakieś dwie trzecie czytelników popiera ogólne stanowisko polityczne redakcji pisma. I tak 81 procent czytelników „Daily Herald" popiera politykę laburzystow, 7 proc. popiera konserwatystów, 2 proc. — liberałów, a 10 proc. jest niezdecydowanych. Podobną sytuację, przy uwzględnieniu innego stanowiska politycznego redakcji, mamy w odniesieniu do „Daily Telegraph", gdzie 62 proc. popiera konserwatystów, 10 proc. — liberałów, 9 proc. — laburzystów, a 17 proc. jest niezdecydowanych.

W dwóch ostatnich przykładach liczba czytelników nie popierających polityki redakcji pisma wynosi 19% i 38 procent. Świadczy to, że obok światopoglądu politycznego jest jeszcze cały szereg innych czynników, które niekiedy wbrew czynnikowi przynależności klasowo-politycznej decydują o wyborze pisma. Jest to wyraźnie widoczne, jeżeli chodzi o wybór pism niedzielnych. Autorzy publikacji dochodzą do wniosku, że proces wyboru dziennika przez czytelnika brytyjskiego jest częściowo tylko świadomy i polega na eliminacji pism o cechach niepożądanych. Czytelnik jest związany z pismem sympatią tylko w połowie sformułowaną, rodząca się ze świadomości klasowej i całego szeregu mniej ważnych czynników.

Jan Wepsięć

1) The Press and its Readers. A Report prepared by Mass Observation. London, 1949 Str. 128.

X. JÓZEF PASTUSZKA

DWA OBLICZA

MYŚL filozoficzna znajdowała się zawsze pod nieodpartym urokiem tej dziwnej, tajemniczej rzeczywistości, jaką przedstawia człowiek, i stawiała sobie niepokojące pytanie, kim jest i jakie stanowisko zajmuje w świecie. Samo zestawienie nagromadzonych w ciągu wieków odpowiedzi daje mozaikę, barwną wprawdzie, ale pełną rozbieżnych, przeciwstawnych i jednostronnych definicyj, które bynajmniej nie rozwiązują wszystkich trudności.

A trudności te płyną z faktu dziwnej, bo skomplikowanej, niejednorodnej struktury człowieka, który choć gatunkowo posiada wyraźny charakter, wykazuje w gruncie rzeczy podwójne janusowe oblicze, jakąś dziwną dwoistość, jak gdyby „zachodzenie" na siebie dwóch sfer ontycznych, z których jedna opiera się na drugiej, a każda z nich może być uważana za jedyną i autonomiczną rzeczywistość.

Dwa oblicza posiada człowiek — materialno - zmysłowe i duchowe. Oba należą do jego natury, oba są z sobą nierozerwalnie złączone i uzależnione, oba zespalają się w całości, a przecież występują z niejednakową wyrazistością, pełnią funkcje zastępcze i mogą podsunąć przypuszczenie, jak gdyby tylko jedno z nich wypełniało sobą całą treść człowieka.

I.

Oblicze cielesno - zmysłowe — to budowa cielesna, oraz czynności wegetatywne i zmysłowe człowieka.

Ze światem materialnym wiąże człowieka jego ciało. Te same składniki fizyczne — elektrony, protony i neutrony — jakie wchodzą w skład materii, tworzą ciało ludzkie, tylko że ich powiązania zespołowe są bardzo skomplikowane, subtelne, zróżnicowane. Choć znacznie mniejsza ilość pierwiastków chemicznych stanowi tworzywo organizmu, występują one w postaci bardziej zwartej i doskonalszej, niż w ciałach anorganicznych.

Ciało ludzkie posiada określoną wielkość, kształt i jest pewną masą, która zajmuje miejsce w przestrzeni. W porównaniu z ogromem planet i gwiazd wydaje się małym, nieznacznym drobiazgiem, jakim jest np. atom wobec góry, a w zestawieniu z elektronem, czy nawet atomem jest ono wielkością kosmiczną.

Będąc ciałem człowiek włączony jest w ramy przyrody i poddany jej prawom fizycznym. Są to prawa mechaniki, elektrodynamiki, ciężaru czy masy. Stwierdzamy nawet na sobie ich działanie, obliczamy ich siłę, ich prawidłowość ujmujemy w formuły matematyczne, a przecież nie znamy ich istoty i nie możemy nic zmienić z ich przebiegu. Potęga sił fizycznych budzi w nas podziw, a ich żywiołowość i bezwzględność wywołują grozę i lęk. Są one dyktatorskie, postępują z człowiekiem tak samo bezwzględnie jak z rzucanym po polu płatkiem śniegu, czy liściem drzewa, w który wciąż uderza wiatr i deszcz. Człowiek musi się do nich dostosować, a jeżeli im się przeciwstawia, to zostanie przez nie zmiażdżony.

Ze światem roślinnym dzieli człowiek życie organiczne, bo odżywia się, wzrasta, rozmnaża się i podlega śmierci. I w ciele ludzkim, jak i w innych tworach organicznych, działa w niewidzialny sposób twórczy, organizujący pierwiastek życiowy, entelecheja, kierując siłami witalnymi, jakie pulsują w maleńkich komórkach życia organicznego, a których potęga jest wstrząsająca — przecież one opanowują i rozkładają potężne siły fizyczne, skupione w atomie.

Do świata zwierzęcego przynależy również człowiek. Posiada podobną budowę anatomiczną, jest wyposażony w te same narządy zmysłowe, spełnia analogiczne funkcje życiowe i przechodzi etapy rozwojowe zbliżone do zwierzęcia. Posiada poznanie i pożądanie zmysłowe, to znaczy odtwarza w sobie podobieństwo rzeczy, uświadamia sobie tkwiące w nich wartości i zdąża instynktownie do ich posiadania. Popędy życiowe będące uświadomionym wyrazem potrzeb organicznych, wstrząsają również jego psychiką i domagają się zaspokojenia.

Jest ssakiem wyższego gatunku, który, podobnie jak każde zwierzę, pragnie być syty i wygodny, zdąża do zaspokojenia swych potrzeb i łaknie spokoju, jest samolubny i bezwzględny. Ma w sobie coś z bezwładu materii i egoizmu zmysłów.

Wmontowanie człowieka w świat materialny i organiczno - zmysłowy jest tak daleko posunięte, że wydaje się, jak gdyby te właśnie pierwiastki całkowicie wyczerpywały jego istotę. Jego całe życie bazuje na materii, i ta stanowi podbudowę jego psychiki nie tylko w sensie podłoża dla czynności psychicznych, ale że sama głęboko w ich dynamikę wkracza. Punktem wyjścia wyższych procesów psychicznych są zjawiska zmysłowe, dostarczające materiału dla treści duchowych.

Może się wydawać, że człowiek łączy w sobie właściwości świata fizycznego i organiczno-zwierzęcego, że stanowi ich syntezę i uwieńczenie. Na gruncie takich refleksji wyrósł materializm psychologiczny, zarówno w tej pierwotnej formie, w jakiej występował u filozofów jońskich, u Demokryta, Epikura, i dzisiejszy, który na przyrodę i jej procesy organiczne patrzy przez pryzmat nowoczesnej fizyki.

A przecież życie ludzkie nie wyczerpuje się jedynie procesami organiczno-zmysłowymi. Człowiek, choć nazywany bywa doskonałym zwierzęciem, wykazuje pewne znamiona niedorozwoju i zapóźnienia w porównaniu ze światem zwierzęcym.

Jako gatunek, najpóźniej zjawił się na świecie,a mimo to jego odporność życiowa jest słabsza w porównaniu ze zwierzętami, gdyż jego system nerwowy częściej się załamuje. Pod względem organiczno-zmysłowym człowiek jest słabo wyposażony i mało przygotowany do życia. W budowie ciała ludzkiego uderza dysproporcja pomiędzy bogato rozwiniętym i zróżnicowanym systemem nerwowym, zwłaszcza mózgu, a stanem przeciętnym a nawet niedorozwojem innych części organizmu. Mózg pochłania u człowieka nieproporcjonalnie dużo energii witalnej, która u zwierząt zużytkowana jest na funkcje wegetatywno-zmysłowe. Jest on delikatnym i mało odpornym narządem, łatwo ulega uszkodzeniu i nigdy się nie regeneruje.

Czynności zmysłowe człowieka, mimo kunsztownie zbudowanych narządów cielesnych, nie są tak wydoskonalone, jak analogiczne funkcje zwierząt, np. wzrok orła, węch psa, a odnośne wrażenia ludzkie.

To zacofanie człowieka w zestawieniu ze zwierzętami występuje najwyraźniej w dziedzinie instynktów. Ich działalność jest wystarczająca, by człowiek mógł się utrzymać przy życiu. Nie są one tak niezawodne i nieomylne, jak w świecie zwierzęcym, nie obejmują wszystkich sytuacji życiowych i jedynie na nich człowiek nie może się opierać.

Ze stanowiska biologicznego należy patrzeć na człowieka raczej jako na anomalię, na zapóźnione w swym rozwoju i do wymogów życia niedostosowane zwierzę. Człowiek znalazł się w swym rozwoju w „ślepej uliczce" życia i nie może z niej wyjść. Jest „dyletantem życia" — jak go nazywa Scheler — w porównaniu z mistrzowskimi czynnościami roślin i zwierząt.

II.

Jeżeli struktura organiczna i czynności zmysłowe stawiają człowieka na niższym stopniu wśród jestestw żyjących, to działalność jego rozumu i woli przejawiająca się w aktach wewnętrznie niezależnych od materii, czyni z niego istotę uprzywilejowaną i stanowi o jego **obliczu duchowym.**

Zwierzęta poznają otaczające je rzeczy wyłącznie pod kątem swych biologicznych potrzeb. Ich poznanie, wyzbyte momentów refleksyjnych, jest raczej podmiotowym uczuciem. Ono nie dystansuje od przedmiotu, lecz zespala ze środowiskiem biologicznym. Dlatego zwierzę tym środowiskiem nie włada, ale „zatapia" się w nim i stanowi z nim niepodzielną całość.

Inne jest **poznanie rozumowe.** Człowiek nie pogrąża się ekstatycznie w świecie zjawiskowym, ale zachowuje wobec niego dystans. Poznając przedmiot, nawet pod kątem swych biologicznych potrzeb, podchodzi doń teoretycznie, bo odróżnia w nim różne nawarstwienia ontyczne, cechy przypadłościowe od istotnych, ogólne od jednostkowych, istotę od istnienia rzeczy, momenty przygodne od bezwzględnych. Nawet gdy myśl ludzka obraca się koło rzeczy zjawiskowych i spraw życia codziennego o charakterze konkretnym, biologicznym, to i wtedy przeprowadza ich metamorfozę. Poznawane wówczas jakości zmysłowe zatracają swe oblicze i występują jako przejawy głębszej kryjącej się poza formami zewnętrznymi, jakiejś innej rzeczywistości. Dla człowieka rzecz poznana jest nie tylko wykładnikiem biologiczno-uczuciowych potrzeb, ale „przedmiotem", czymś innym, odrębnym od podmiotu, poznanie zaś ludzkie jest twórcze i samorzutne, a nie odbiorcze i bierne, jak u zwierząt.

Co więcej, człowiek wytwarza sobie świat pojęć nie będących kopiami rzeczy materialno-konkretnych. Są to idea Boga, prawdy, dobra, piękna, wolności, poświęcenia. Nie posiadają one żadnych właściwości zmysłowych, a czas i przestrzeń nie zacieśniają ich do kategorii bytów jednostkowych, poddanych koniecznościom istnienia przygodnego.

Ku tym samym ideałom zdąża również **wola ludzka,** ta druga, obok rozumu władza duchowa człowieka. Są to wartości religijno-moralne, wartości dobra, prawdy i piękna o charakterze ponadmaterialnym, a nawet ponadświatowym. Nie noszą one na sobie przymiotów materialnych i nie są zdolne zaspokoić potrzeb biologicznych.

Gdy zaś wola zwraca się ku dobrom materialnym, to i wtedy inaczej je ocenia, bo kieruje się takimi motywami, jak cel, obowiązek, nakazy etyczno-religijne, eksperyment chwili, zwyczaj itp., słowem, doszukuje się w nich momentów ponadmaterialnych. Nie zacieśnia się też do przedmiotów konkretnych jednostkowych, bo ujawnia dążności nieskończone i ogólne.

Ta sama wola ludzka nie podlega **konieczności.** Światem materialnym **rządzi prawo masy,** które w dziedzinie życia zmysłowego znajduje swój odpowiednik w zasadzie silniejszej podniety: zwycięża wyższa siła, która albo wyniszcza słabszą, albo ją wchłania, lub sobie podporządkowuje.

Światem ducha włada prawo wolności i miłości. Wolność człowieka polega na samookreśleniu postępowania, na twórczym ludzkim „fiat" w każdorazowej sytuacji, gdy szala wyboru waha się pomiędzy dwiema alternatywami, dwiema wykluczającymi się wartościami. Ale jeszcze wcześniej, zanim człowiek zacznie przeżywać dramat wyboru, musi wstrzymać w sobie automatyzm psychiczny, jaki się w nim rozwija, a to wymaga nadrzędnej, jakby ponadzmysłowej siły w sferze dążeniowej.

Dynamika woli odmienna jest od procesów materialnych i popędów zmysłowych. Wola jest tą twórczą siłą, która nie zna spokoju, nieustannie rodzi nowe pragnienia i wytwarza fale energii psychicznej, nastawione na opanowanie potrzebnych wartości. Zasięg jej dążeń jest ogólny i nieskończony w przeciwieństwie do ograniczonpch i konkretnych celów, ku jakim zmierzają popędy zmysłowe. Jest twórcza i wolna a przecież poddana prawom etycznym; zdąża do wartości, które znajdują się poza sferą zjawiskową i nie są zdolne rozbudzić popędów zmysłowych.

Zachodzi ta różnica pomiędzy wartościami zmysłowymi, które są przestrzenne, czasowo ograniczone, podlegają zepsuciu i zniszczeniu, a wartościami duchowymi, będącymi przedmiotem woli. Te nie wyczerpują się, gdy zostały osiągnięte, ani się nie dzielą, ani nie ulegają zniszczeniu, czy zanikowi.

Szczytowe miejsce wśród nich zajmują wartości religijne. Akty religijne są transcedentne i mówią o istnieniu rzeczywistości najdoskonalszej, która nie zna ograniczeń i doczesności. Są wypełnione nieuniknioną tęsknotą, bo przenika je świadomość, że żadne dobro leżące w granicach doczesności nie jest w stanie zaspokoić ducha ludzkiego i że ukojenia swych aspiracyj człowiek mo-

D Y S K U S J E

Wojciech Zaleski: Wolność

„Kto zwycięży wolnym będzie
a kto poległ wolnym już..."
(Warszawianka)

KULT bohaterów, znajdujący wyraz w niezliczonych utworach poetyckich, w pieśniach, pomnikach i obrazach ma swą głęboką rację i spełnia z punktu widzenia społeczeństwa rolę użytkową. Społeczność w świecie współczesnym potrzebuje wciąż jeszcze ludzi, którzy byliby gotowi dla niej oddać swe życie.

Stąd od zarania dziejów musiano dbać o otoczenie poległych swojego rodzaju kultem już od chwili pogrzebu, stąd dla podtrzymania ducha ofiary konieczne jest oddawanie hołdu tym, którzy zginęli, by w ten sposób grać na żądzy sławy u żyjących. Instynkt życia jest tak silny, że bez tej całej aparatury niewielu ludzi zdecydowałoby się na ofiarę krwi dla obrony wolności narodu.

Doświadczenie wykazuje, że ludzie nie są obojętni na hołdy, oddawane im po śmierci. Dowodzą tego choćby takie fakty, jak przygotowanie grobowców za życia lub zarządzenia dotyczące pogrzebu, jakie nieraz umieszczane są w testamentach.

Może się komuś wydać, że takie przedstawienie celu użytkowego hołdów pośmiertnych jest swego rodzaju profanacją. Duża część naszej twórczości literackiej zwłaszcza od czasu rozbiorów poświęcona jest kultowi bohaterów poległych (Słowacki miał nawet pretensje o to, że zostaje „pół rycerzy żywych"). Czyż mamy całą tę literaturę sprowadzić do rzędu instytucji użytkowych mających podobny cel, jak szkoły podchorążych, ćwiczenia rekrutów itd.?

Wydaje się to niejednemu świętokradztwem, a jednak wszelkie postacie kultu bohaterów, bez względu na piękno ich form, pozostaną środkiem służącym bezpieczeństwu społeczeństwa, które je tworzy, tak samo jak śpiew słowika czy tęczowe barwy pawia służą zachowaniu gatunków.

Trzeźwe spojrzenie na te rzeczy nie jest jednak bynajmniej zaprzeczeniem samodzielnej wartości piękna. Ani śpiew słowika nie traci swego uroku, ani barwy kwiatów nie bledną przez to, że wiemy poco śpiewa słowik i czemu maki są szkarłatne.

Zrozumienie celowości piękna pozwala na jego głębsze odczucie, zrozumienie treści, pozwala lepiej ocenić formę.

Kult poległych bohaterów jest piękny dlatego, że ma swój sens i cel. Nie jest jednak celem samym w sobie, o czym zdajemy się zapominać. Polec, zdobyć sławę i wolność poległych — to wydaje się pokoleniu wychowanemu jednostronnie już conajmniej od 120 lat celem samym w sobie.

Nikt nie zastanawia się nad tym, jak dalece taki stosunek do śmierci sprzeczny jest ze światopoglądem chrześcijańskim. U muzułmanów śmierć w walce z niewiernymi daje natychmiast „wyzwolenie" — podobny stosunek do zagadnienia śmierci mają np. szyntoiści w Japonii i wyznawcy wielu innych religii wschodu. Chrześcijaństwo każe jednak patrzeć na życie doczesne jako na próbę, której człowiekowi nie wolno własnowolnie skracać — bez względu na to, czy chodzi o siebie czy o innych. Potencjał złożony w nas w chwili poczęcia mamy obowiązek rozwijać w życiu i dlatego mamy obowiązek żyć, chyba, że mam bronić życia innych. Chrześcijaninowi nie wolno przekładać efektownego samobójstwa nad ciężkie życie — w szczególności nie szuka on w dobrowolnie zadanej sobie śmierci usprawiedliwienia za złe życie.

Wolności, jaką daje śmierć, nie wolno sobie brać samemu. Co więcej — istnieje obowiązek obrony własnego życia, a moraliści chrześcijańscy kładą nacisk na obowiązek troski o własne zdrowie. Zawsze więc, także w walce o obronę życia innych, należy dbać o życie własne, trzeba także i wolno narażać je tylko w miarę konieczności.

Napisałem przed kilku laty, że słodko i zaszczytnie jest dla Ojczyzny umierać, a trudno dla niej żyć. Wydaje się, że mamy skłonność wrodzoną do wybierania drogi łatwiejszej. Tymczasem śmierć tylko w wyjątkowych okolicznościach służyć może zapewnieniu wolności innym. Dlatego właśnie od lat 150 wyzwalamy systematycznie masowo umarłych, natomiast z wolnością żywych jest gorzej.

Gotowość do ofiary krwi stała się w naszych czasach jedyną niemal formą przejawienia patriotyzmu. Niestety jednak wartość realna ofiary krwi dla narodu staje się coraz mniejsza. Jest to poprostu wynik zmian w otaczającym nas świecie. W ubiegłych stuleciach dobre uzbrojenie armii było również warunkiem powodzenia wysiłku zbrojnego. Jednakże po pierwsze walczył nieznaczny odsetek ludności, a po drugie uzbrojenie było stosunkowo tańsze.

W rezultacie nawet ubogie narody mogły pokonać o wiele bogatsze, o ile zdobyły się na lepszy wysiłek „mobilizacyjny". Ten stan rzeczy zaczął się zmieniać już w okresie absolutyzmu oświeconego, kiedy zaczęto mobilizować coraz większy odsetek dochodu narodowego dla celów wojny.

Wówczas też władcy absolutni zaczęli prowadzić politykę gospodarczą

CZŁOWIEKA

że oczekiwać jedynie od Absolutu. Akty religijne jak gdyby domagają się odpowiedzi od Boga, są wyrazem tęsknoty i próbą nawiązania łączności pomiędzy dwoma światami.

Te uzdolnienia i funkcje nastawione na świat duchowy wskazują na istnienie pierwiastków duchowych w człowieku. Zachodzi bowiem swoista proporcja pomiędzy aktem psychicznym a jego właściwym przedmiotem, pomiędzy czynnościami a ich podmiotem, naturą, pomiędzy postawą człowieka a jego przeznaczeniem. Zwierzę nie zna takich dążeń i nie wykazuje podobnych funkcyj i dlatego prowadzi tak odmienne od człowieka życie, choć tyle z nim wspólnych anatomicznych i fizjologicznych właściwości posiada.

III.

Dwa oblicza człowieka — to dziwne zespolenie życia wegetatywno-zmysłowego i duchowego — czynią go istotą złożoną, „miniaturą wszechświata", mikrokosmosem, a zarazem istotą rozdartą, mimo, że te wielorakie formy bytu zlewają się w nim w jedną naturę i tworzą jedną substancję — osobę ludzką.

Człowiek jest tym punktem, gdzie świat ducha styka się z materią i zmysłami. Zajmuje on miejsce na granicy dwóch światów, gdzie słabnie piękno ducha a rozpoczyna się materia. Jest wędrowcem, którego droga prowadzi przez dwa światy, ale w żadnym z nich nie czuje się zadomowiony. Już sformułowana przez św. Augustyna a nawiązująca do starożytnych myślicieli greckich definicja człowieka jako „zwierzęcia rozumnego" (animal rationale) mówi nie tylko o połączeniu dwóch światów w człowieku, ale i o wewnętrznym, ontycznym jego rozdwojeniu. Wymowne pod tym względem są słowa św. Tomasza z Akwinu: „Dusza ludzka nastawiona jest na połączenie z ciałem, ponieważ jest ona niedoskonała w sferze istot duchowych i znajduje się w stanie możności. Nie posiada bowiem w sobie wiedzy i musi ją zdobywać z rzeczy zmysłowych za pośrednictwem zmysłów cielesnych". (S. theol. I. 51, 1). Kant widzi w człowieku „obywatela dwóch światów", który jako istota zmysłowa ulega determinizmowi materii, a jako istota duchowa wkracza w świat duchowy.

To wewnętrzne rozdwojenie tłumaczy słabość i bezradność człowieka w świecie. Zwierzęta są wyspecjalizowane w swojej dziedzinie. Z ich budowy anatomicznej i wyposażenia w instynkty można wnosić, jakie funkcje życiowe mają spełniać, a w swym naturalnym środowisku tak są zadomowione i bezpieczne, jak człowiek w wygodnym mieszkaniu. Tylko człowiek nie jest zdeterminowany do żadnego miejsca, on sam musi wytworzyć sobie warunki istnienia — na Arktyce czy w Afryce, pod wodą czy w powietrzu. Nie posiada też pewności instynktowej, jak zwierzęta, a opanowanie każdorazowej sytuacji jest dla niego problemem. Dwaj Grecy zazdrościli zwierzętom, że one nie stają wobec konieczności decyzji w akcie woli, która jest przykrzejsza niż ciężka praca fizyczna.

To ontyczne rozdwojenie człowieka głęboko odczuwała filozofia wszystkich czasów. Heraklit mówi, że pod względem cielesnym człowiek zanurzony jest w fali rzeczy przygodnych, ale jego dusza jest odblaskiem wiecznego i nieprzemijającego Logosu. Może najgłębiej bolał nad tym rozdwojeniem Platon, który jako Grek kochał piękno zmysłowej postaci, ale jako prawdziwy człowiek tęsknił za światem wiecznych idei. Nawet Nietzsche, który szydził z religii i moralności, miał serce pełne tęsknoty za Bogiem.

L. Klages wystąpił z potępieniem rozumu jako czynnika, który pozbawił człowieka instynktowej pewności i uczynił go kaleką życiowym. W rzeczy samej instynkt działa nieomylnie a rozum zdobywa prawdę stopniowo i błądzi. Poznanie rozumowe — to nie tyle statyczne posiadanie prawdy, ile jej poszukiwanie i fragmentaryczne opanowywanie. Błądzenie zaś należy do natury poznania ludzkiego. Nie błądzi tylko Bóg, który jest czystym duchem, Absolutem, i nie błądzi zwierzę, bo jest kierowane instynktem. Najdobitniej podkreślił słabość człowieka Pascal, przyrównując go do trzciny: „Człowiek jest trzciną, w przyrodzie najsłabszą, ale trzciną myślącą". Nietzsche nazywa człowieka „istotą chorą, niepewną, zmienną, słabszą od jakiegokolwiek zwierzęcia".

Ta nieporadność życiowa człowieka nie jest zjawiskiem chwilowym, następstwem nieprzystosowania, czy niewyrobienia czynności ludzkich, ale czymś istotnym, związanym z jego naturą. To duch ludzki, zmuszony współdziałać z ciałem, stawia niepewne kroki, bo jego przeznaczeniem życiowym jest rozwijać się i kształcić, a kształcenie człowieka polega na uporaniu się z rzeczywistością zjawiskową, na jej opanowaniu, na wytwarzaniu wartości duchowych, ale w oparciu o świat materii i zmysłów. Zespolenie ducha z ciałem — tych dwóch tak odmiennych a przecież substancjalnie ze sobą związanych bytów — sprawia, że człowiek czuje się niepewny, że jest, jak go określa N. Hartmann, „istotą, która przez siebie samą jest zagrożona".

Rzecz paradoksalna, że im bardziej człowiek ma w sobie rozwinięte pierwiastki duchowe, tym więcej jest problematyczny, wewnętrznie rozdarty i życiowo niezaradny. Wystarczy porównać pewność i spokój człowieka pierwotnego, lub niewykształconego robotnika czy chłopa z problematycznością natury św. Augustyna, czy Kanta, Dantego, czy Goethego. Słusznie zauważył Nietzsche, że „geniusz jest najsubtelniejszą i dlatego najbardziej kruchą maszyną".

Ale w tej słabości, bezdomności i bezradności człowieka leży jego dostojeństwo i wyższość nad światem zwierzęcym. Wrośnięty w świat ziemski i związany z nim wielorakimi węzłami, zespolony z ciałem, duch ludzki nie zamyka się w granicach empirycznych, lecz ustawicznie poza nie wybiega. Człowiek jest tą dziwną istotą, która siebie, własne i wszelkie życie transcenduje, która wciąż tworzy i, walcząc z sobą, siebie bogaci.

Duchowość człowieka przejawia się w tym, że nigdy nie jest on „istotą wykończoną", że nie kroczy utartymi szlakami — nie jest automatem, jak maszyna, ani nie kieruje się wyłącznie nieomylnym instynktem, jak zwierzę, lecz swe czyny poddaje kierownictwu rozumu i woli. Tylko zwierzę jest zawsze „gotowe i wykończone", wyspecjalizowane, a zarazem zacieśnione do pewnego, drobnego, odcinka rzeczywistości. Człowiek nigdy nie jest „gotów", nie osiąga pełnej doskonałości i zawsze jest istotą potencjalną. Przezwyciężając swą bezradność i słabość, człowiek kształtuje swą osobowość, sam stopniowo się tworzy i ujawnia ukryte w sobie wartości. Jego właściwą postawą jest „docta ignorantia", to głębokie sokratesowskie „wiem, że nic nie wiem", to ciągłe uświadamianie sobie granic własnego ja, szacunek przed „filigranowością" rzeczy i przekonanie, że świat jest głębszy i bardziej tajemniczy niż nasza o nim wiedza. Nasza osobowość czeka na aktualizację.

Rozwój osobowości ludzkiej — to proces długi i trudny, ale im dłużej trwa, tym bardziej człowiek dojrzewa. Takie jest zresztą prawo przyrody. Rośliny i zwierzęta, które najwcześniej dojrzewają i najszybciej się usamodzielniają, znajdują się na najniższym stopniu rozwoju w hierarchii gatunków. Dziewczyna szybciej dojrzewa od chłopca i dlatego mężczyzna przewyższa kobietę pod względem umysłowym, twórczym.

Siła twórcza człowieka tkwi również w jego wewnętrznym rozdarciu i załamaniu, w jego konfliktach i walkach wewnętrznych, w tej „niewykończoności" i problematyce duchowej. Czyny opłacane wysiłkiem i ofiarą wydobywają na jaw najgłębsze nawarstwienia ducha ludzkiego. Wszak w niebezpieczeństwie życia, w rozpaczy, w oderwaniu od dóbr materialnych, w wyrzeczeniu się rozkoszy — człowiek uświadamia sobie w pełni własne istnienie i dochodzi do głębszego samopoznania. Zenon z Kition, założyciel szkoły Stoików, w katastrofie okrętowej utraciwszy cały swój majątek, stał się myślicielem, ponieważ — jak się wyraził — „gdy wszystko stracił, wszystko zyskał".

Można więc powiedzieć, że „niewykończenie człowieka" jest źródłem nowego życia duchowego. Z walki człowieka z samym sobą, z przezwyciężenia własnych słabości, z oporu przeciwko siłom przyrody, z dramatu własnej osobowości, jaki przeżywa, rodzi się nowe życie, powstaje nauka, a soki żywotne czerpie moralność i pogłębia się życie religijne. Wielkie twórcze kultury nie powstawały tam, gdzie przyroda szczodrze obdarowała człowieka, ale w krajach, gdzie warunki zewnętrzne, klimat i uboga gleba zmusiły go do wytężonej pracy.

Walkę toczy człowiek z otaczającym go światem, a jeszcze więcej z samym sobą. Jest on prawdziwym „ascetą życia", bo musi przeciwstawiać się popędom, powstrzymywać ich przerost, przeprowadzać pomiędzy nimi selekcję i regulować ich działanie. W tej zdolności do dobrowolnego wyrzeczenia się widzi Scheler istotną cechę odróżniającą człowieka od zwierzęcia. Człowiek jest tą „istotą", która umie sobie powiedzieć „nie". Tak samo Freud jest zdania, że tylko człowiek umie dobrowolnie oprzeć się popędom płciowym, podczas gdy zwierzę musi je zaspokoić. Dlatego też nazywa człowieka „tym, który opanowuje popędy".

A jeżeli nawet człowiek ulegnie popędom i odda się zmysłowości to i wtedy jego pierwiastki duchowe dochodzą do głosu, choć w innej postaci. Nieskończone dążności ducha ludzkiego znajdują swój wyraz w pragnieniu wyrafinowanej, szkodzącej zdrowiu przyjemności i w zboczeniach płciowych, w myśl zasady Nietzschego, że „każda rozkosz pragnie wieczności, pragnie głębokiej, głębokiej wieczności". Brak umiaru obcy jest zwierzęciu, bo jego potrzeby regulowane są przez nieomylne instynkty. To duch ludzki, gdy zostanie zepchnięty z normalnej drogi postępowania, wdziera się znowu w życie ludzkie, ale w postaci demonicznej i człowieka deprawuje.

Łącząc w sobie pierwiastki duchowe z cielesnymi, człowiek przeżywa sprzeczne dążenia i pełen jest antynomij. Przeciwstawia się życiu, a zarazem ku niemu dąży, nie znajduje przedmiotu swych pragnień, a więc go poszukuje, jest „ascetą życia" a zarazem jego miłośnikiem, nie znajduje ukojenia w swych pragnieniach, a wciąż szuka nowych wartości. Jest on „wiecznym Faustem", tą dziwną istotą, która znajduje się na drodze nieukojonego poszukiwania, jest wolna, a przecież poddana tylu ograniczeniom, nosi w sobie wizję lepszego ja a zarazem afirmuje teraźniejszość, coraz dokładniej siebie poznaje a wciąż pozostaje tajemnicza.

Człowiek nie jest więc ani samą materią, ani samym zwierzęciem, ani czystym duchem, ale istotą, która łączy w sobie materię ze światem zmysłowym i duchowym, jest częścią przyrody, a jednocześnie transcenduje materię i zwierzęcość, żyje innym wyższym życiem duchowym i tworzy wartości kulturalne. Być człowiekiem — to znaczy przeżywać swą potencjalność, swe ograniczenia i wierzyć w swe wielkie przeznaczenie — transcendować siebie i świat. Być człowiekiem — to ustawicznie borykać się z sobą, czuć własną niewystarczalność, a jednocześnie mieć tęsknotę za wiecznym spokojem ducha; przebywać w świecie przygodnym, niedoskonałym, a zdążać ku Absolutowi i nawet w trwaniu czasowym mieć wyczucie wieczności. Być człowiekiem — to znaczy zdobywać się na ciągły wysiłek, szukać zaspokojenia potrzeb życiowych, tworzyć coraz to nowe wartości kulturalne i bogacić własną osobowość, a „mieć serce, które się nie ukoi, dopóki nie spocznie w Bogu" (św. Augustyn).

X. Józef Pastuszka

(Przedruk z „Przeglądu Powszechnego" nr. 2/49).

umarłych i wolność żywych

z punktu widzenia potrzeb wojny, co przejawiało się np. w budowie przemysłu wojennego przez Piotra Wielkiego czy Fryderyka Wielkiego. Rzecz charakterystyczna, że obaj ci władcy szczególnym zainteresowaniem otaczali hutnictwo żelazne i obaj zasłużyli sobie na tytuł „Wielkich". Stworzyli oni, a raczej odnowili, system wytwarzania przez państwo i w państwowych przedsiębiorstwach żelaza i broni. Konsekwentne rozszerzanie tego systemu — nawiasem mówiąc — prowadzi do powszechnej etatyzacji wytwórczości w systemach totalnych.

Oczywiście, większy stopień gospodarczej mobilizacji może być osiągnięty innymi metodami. Wszędzie jednak warunkiem zabezpieczenia wolności politycznej był conajmniej od XIX stulecia odpowiedni stopień niezależności gospodarczej.

Może się to wydać powtarzaniem rzeczy znanych powszechnie, dziwna rzecz jednak, jak mało u nas na te powszechnie znane rzeczy zwracano uwagę. Stałe cofanie się naszego tzw. potencjału gospodarczego w stosunku do naszych sąsiadów nikogo zbytnio nie niepokoiło, a w opinii przeciętnego Polaka nasza polityka gospodarcza była znakomita — choć wedle zdania ekonomistów, potwierdzanego wynikami tej polityki, była wręcz fatalna.

Prosty fakt, że działanie wymaga środków, nie dotarł w dostatecznym stopniu do świadomości polskiej. Rzecz przytem dziwna: doświadczenia ostatniej wojny wykazały, że braku środków absolutnie nie da się wyrównać ofiarami krwi, ale my nie wyciągnęliśmy stąd absolutnie żadnych wniosków praktycznych. Wychowanie narodowe ogranicza się do jednostronnego kultu bohaterów. Rocznice klęsk obchodzimy nadal uroczyście, aż strach człowieka ogarnia na myśl, co będzie dalej: chyba zabraknie dni w roku na akademie klęskowe. Natomiast rocznice zwycięstw obchodzi się stosunkowo rzadziej. Udajemy przytem, że nie wiemy o dawnej przeszłości pełnej zwycięstw, a ograniczamy się do ostatnich 150 lat klęsk, bo przecież nawet zwycięstwa tego okresu były niepełne i tymczasowe.

Jest rzeczą niezwykle charakterystyczną, że stanąwszy przed nową rzeczywistością powojenną wogóle nie pomyśleliśmy o kwestii zapewnienia środków na akcję polityczną, a przypomnieliśmy sobie o tym dopiero wtedy kiedy nasze ministerstwa nie miały już pieniędzy nawet na znaczki pocztowe. Urządziliśmy natomiast zupełnie rekordową ilość obchodów i akademii, zmierzających do podtrzymania gotowości do ofiary krwi.

Trudno się oprzeć wrażeniu, że dochodzimy pod tym względem bliziutko do granicy obłędu. Z wyższością patrzymy na inne narody, które wprawdzie nie są tak lekkomyślne jak my w szafowaniu krwią, ale potrafią gromadzić siłę, przy pomocy której narzucają swą wolę innym — między innymi także przez kupowanie sobie polityków.

Uważamy, że inne narody są zmaterializowane i niezdolne do ofiar. Zapominamy jednak o tym, że stopień zmaterializowania mierzy się przywiązaniem do dóbr materialnych i upatrywaniem w gromadzeniu tych dóbr celu istnienia, natomiast samo gromadzenie dóbr materialnych to tylko tworzenie siły, która jest koniecznym warunkiem skutecznego przeciwstawienia się złu. Niechęć do gromadzenia siły nie jest sama przez się cnotą, wprost przeciwnie, może być w tym wypadku uważana za grzeszną lekkomyślność, która udaremnia nam spełnienie obowiązków rodzinnych, narodowych itp. Pogarda dla dóbr materialnych jest wygodną wymówką leniów i niedołęgów, a często jest w gruncie rzeczy pogardą dla wysiłku, pracy i trudu. To zakłamanie ujawnia się w łatwości, z jaką gardzący rzekomo dobrami materialnymi sprzedają nie to, co im sprzedać wolno, to znaczy wyniki swej pracy, ale to czego im sprzedawać nie wolno, to znaczy sumienie, albo interesy narodowe. W ten sposób popadają w niewolę albo zaprzedają w niewolę swój naród.

Ofiara krwi jest najwyżej złem koniecznym. Krew nie użyźnia gleby. Polegli bywają dla poetów źródłem natchnienia, które nie zawsze oddaje istotę rzeczy, jaką jest przekształcenie tysiąca możliwości, tkwiących w młodym i wchodzącym w życie człowieku w cuchnące zwłoki. Nagrodą dla ofiar ma być wolność umarłych. Jest coś głęboko upokarzającego w takim ujęciu zagadnienia. Jest to przyznanie się do niezdolności zdobycia wolności żywych.

Te przerwy, które przez ofiarnych Polaków uważane są jakby za urlop od wszelkich obowiązków, są w rzeczywistości, zgodnie z prawami natury czyli prawami Boga, stanem normalnym, sposobnością do rozwijania możliwości tkwiących w człowieku czy w narodzie, a zarazem do zabezpieczenia trwałości tego stanu rzeczy — to jest wolności żywych.

Wojciech Zaleski

LIST Z CHICAGO

WIĘCEJ INICJATYWY!

Chicago, koniec stycznia.

OGROM i różnorodność wrażeń, jakich doznaje nowoprzybyły po przyjeździe do Stanów Zjedn. z Europy, oszałamia i przytłacza do tego stopnia, że trzeba upływu pewnego okresu czasu, aby je uporządkować, zróżniczkować ich znaczenie oraz ułożyć w pewne całości jako odrębne przejawy tutejszego stylu życia, stosunków, obyczajów i nawyków. Wszystko tu nowe i inne. W wielu sprawach kruszeje powoli świat dotychczasowych pojęć, wysuwając nielada problem uświadomienia sobie, czy zdołamy przystosować się do warunków, jakie i zachwycają i odstręczają zarazem.

Myślę, że minął już dla mnie pierwszy wstrząs psychiczny, wywołany znalezieniem się oko w oko z wieloma zjawiskami życia w Ameryce, że powoli ustępuje początkowe olśnienie czy zaćmienie spojrzenia. I dlatego podejmuję próbę nowej współpracy z ŻYCIEM w ustalonej już na terenie Niemiec formie pisania skromnych notatek.

Przyznam się, że przystępuję do tego z lekką gęsią skórką. Jest ona wywołana dość powszechnie tu panującym poglądem, szczególnie w kołach Polonii amerykańskiej, że nowoprzybyły nie powinien wypowiadać się na tematy tutejsze, ponieważ nie zna się na tym i może jedynie wywołać więcej szkód niż przynieść pożytku. Cierpkie uwagi o pierwszych relacjach z Ameryki zamieszczonych w polskiej prasie na kontynencie przez nowoprzybyłych dziennikarzy były reakcją niektórych pism. Gdyby chociaż podjęto próbę merytorycznego dyskutowania. Ale gdzietam! Po prostu odmawia się nam prawa zabierania głosu, złośliwie wytyka obserwowanie Ameryki z okien pociągu, przypomina dipisowe „pochodzenie“, by wreszcie nazwać całą pisaninę „szkodnictwem“.

Nie zrażam się jednak tym prysznicem, ponieważ nie widzę przyczyn, dlaczego w wolnej Ameryce miałbym podlegać innym ocenom aniżeli ci wszyscy, którzy rozpisują się np. na tematy wewnętrznych stosunków w Polsce przed r. 1939, na temat klęski wrześniowej, polityki rządu emigracyjnego w okresie wojny czy ostatnich rozdźwięków w obozie emigracyjnym. Wydaje mi się, że skoro niektórzy pisarze ferują autorytatywne wyroki o Polsce 20-lecia, chociaż widzą ją z perspektywy np. r. 1900, kiedy to opuścili kraj udając się na emigrację, wolno i nowoprzybyłemu zabierać głos i pisać o sprawach, na które w Stanach Zjednoczonych patrzymy już kilka miesięcy. Nie byłoby słuszne wypowiadanie opinii, czy stało się dobrze, że w Ameryce od lat rządzą demokraci, a republikanie znajdują się w opozycji. Dla formułowania ocen w tej kwestii trzeba rzeczywiście znajomości stosunków politycznych w Stanach Zjednoczonych oraz dziejów tego kraju. Ale wolno chyba ocenić bezmyślne zachwyty niektórych pism polsko-amerykańskich nad p. Stanisławem Mikołajczykiem. Nie byłoby słuszne wypowiadanie opinii, czy Polonia ma popierać demokratów czy też republikanów, ale wolno chyba wskazać, że kampania prasowa niektórych gazet, podcinająca zaufanie Polonii do polityki Rządu RP na wygnaniu bynajmniej nie przyczynia się do zwycięstwa tych ideałów, w imię których setki tysięcy polskich patriotów tułają się od lat dziesięciu po całej kuli ziemskiej. Nie byłoby słuszne doradzanie, jaki polonijny kandydat na kongresmana winien otrzymać poparcie w wyborach, ale wolno chyba bronić nowoprzybyłych emigrantów przed zarzutami, wyssanymi z niezbyt czystego palca.

I dlatego będę pisał o tym wszystkim, na co patrzę w Stanach szeroko otwartymi oczyma. I będę notował fakty oraz wypowiadane tu opinie, raczej unikając własnego sądu. Napewno jest jeszcze za wcześnie na własne oceny w sprawach wewnętrzno-amerykańskich, bo trzeba je poznać dobrze oraz zrozumieć. Nie zamierzam więc stawiać się w położenie owych publicystów, którzy patrzą na sprawy polskie poprzez ocean, a robią taką minę, jakby conajmniej siedzieli w samym centrum dyspozycyjnym polskiej polityki niepodległościowej na emigracji.

Zastanawia mnie, dlaczego tak mało dobrych polskich książek rozprowadza się za pośrednictwem wydawnictw pism polsko-amerykańskich. Specjalnie zebrałem wycinki ogłoszeń kilku pism i przejrzałem wykazy autorów i tytuły. Obraz dziwny i smutny. Przecie polskie firmy wydawnicze w krajach europejskiego kontynentu mogą poszczycić się nielada osiągnięciami. Gdzież więc jest inicjatywa albo po jednej albo po drugiej stronie „wielkiej wody“ w kierunku udostępnienia Polonii wartościowych książek, wydanych na emigracji? Ktoś tu zapomniał i o wartościach propagandowo-kulturalnych i o zwykłym biznesie. Oto przykłady pierwsze z brzegu.

Obszerny katalog książek nr. 5 **„Dziennika Związkowego“** w Chicago roi się od jakichś „Antychrystów“ „Czortów i pół kwarty wódki“, „Proroctw Michaldy“, senników, flirtów i tp. Nie równoważą tego książki autorów wybitnych, ponieważ są jakby rodzynkami w przekiszonym cieście i nie reprezentują w pełni ich twórczości pisarskiej. Jest kilka wydawnictw najnowszych, przeważnie z zakresu polityki, ale brak zupełnie tak bogatego pod względem treści wydawniczego dorobku emigracji lat wojennych i powojennych.

Dział polskich książek **„Diennika dla Wszystkich“** w Buffalo reklamuje w ogłoszeniu jako „p o p u l a r n e n o w e l k i“ następujące książki, nie podając zresztą nazwisk autorów: „Kordian“, „Błyskawica“, „Dziewczęta z Nowolipek“, „Kariera Nikodema Dyzmy“, „Trzecia płeć“, „Cham“, „Dolina ludzi milczących“, „Tajemniczy szept“, „Konrad Wallenrod“ i „Powrót do gniazda“. To wszystko. Ulotka reklamowa **„Nowego Świata“** z New York poleca niektóre książki T. Dołęgi-Mostowicza, E. Orzeszkowej, B. Prusa, J.I. Kraszewskiego, no i oczywiście „Małżeństwo doskonałe“. „Zniechęcenie w małżeństwie“ czy szmirę H. Mniszek.

* * *

Naczelną organizacją Polonii jest Kongres Polonii Amerykańskiej, mający w swoich założeniach programowych prowadzenie akcji politycznej na rzecz ideałów wolności politycznej w świecie oraz w obronie uciemiężonej Polski. Dużo można by pisać o tym, czy te piękne założenia ideowe są realizowane, a jeśli nie widać przejawów działania w tym kierunku, to jakie są tego przyczyny. Zostawmy jednak to zagadnienie narazie na uboczu, a podkreślmy dziś piękną pracę propagandową wydziału stanowego Kongresu na stan Massachusetts. Wydział ten nadaje audycje radiowe „Justice for Poland“, zapraszając na prelegentów wybitne osobistości amerykańskie. Jest to niewątpliwie metoda najbardziej skuteczna i przynosi więcej pożytku, aniżeli wszelkie inne audycje radiowe z udziałem polskich działaczów, przemawiających po polsku i niestety dość często ograniczających się do wygłaszania pochwał własnego środowiska organizacyjnego.

Były również audycje o polskiej kulturze. Tak więc John Desmond mówił o Koperniku, T. Skibiński o Chopinie, Chauncey Steiger o Moniuszce, gub. R. Bradford o Kaz. Puławskim, Minnie Dwight o Curie-Składowskiej i td. Audycje „Justice for Poland“ zostały utrwalone na płytach i są do wypożyczenia dla programów radiowych innych wydziałów stanowych Kongresu. Byłoby bardzo interesujące dowiedzieć się, ile stanów skorzystało z tej wspaniałej okazji propagowania sprawy polskiej na wzór stanu Massachusetts.

* * *

Przybył do USA jako „dipis“ znakomity polski drzeworytnik Wiktor P o d o s k i, uczeń prof. Władysława Skoczylasa z jego pierwszej klasy, z której wyszło tylu innych wybitnych polskich artystów -grafików jak Stefan Mrożewski, Tadeusz Kulisiewicz, Stanisław Ostoja-Chrostowski, Tadeusz Cieślewski-syn i in.

Doskonały znawca tej dziedziny artystycznej Jerzy Szeptycki, publicysta i krytyk, któremu nie obce jest paranie się grafiką, zamieścił w kilku pismach polsko-amerykańskich krótki szkic informacyjny o Wiktorze Podoskim. „Grafika polska i ta właśnie grupa ludzi, do której czołowych przedstawicieli należy Wiktor Podoski — pisze Szeptycki — zajęła w sztuce polskiej dominujące stanowisko, stając się także odrazu naszym największym atutem na terenie międzynarodowym. To też od 1928 r. Wiktor Podoski bierze udział we wszystkich reprezentacyjnych wystawach sztuki polskiej zagranicą. W 1933 r. dostaje najwyższą nagrodę na Międzynarodowej Wystawie Drzeworytów w Warszawie, dystansując elitę grafików amerykańskich, angielskich, francuskich, niemieckich i innych. To ustala jego pozycję w sztuce światowej. Nic też dziwnego, że jego prace można znaleźć w galeriach sztuki w British Museum oraz Victoria and Albert Museum w Londynie, nie mówiąc już o Państwowych zbiorach Sztuki w Warszawie. Międzynarodowa Wystawa w Paryżu, 1938, każe zaliczyć go, jako zdobywcę srebrnego medala, do rzędu najwybitniejszych artystów, którzy nadesłali swoje prace z całego świata“.

J. Szeptycki podkreśla też, że Wiktor Podoski jest jednym z najwybitniejszych polskich krytyków sztuki. Nic więc dziwnego, że nazwisko Podoskiego trafia z czasem do poważniejszych encyklopedyj, reprodukcje jego prac są w dobrych wydawnictwach i książkach poświęconych sztuce w Polsce, jak również zagranicą, gdzie zdobył sobie doskonałe imię nawet wśród niechętnie patrzących na nasze zdobycze Niemców, jak i niechętnie doceniających nasze osiągnięcia Anglików.

Swój szkic informacyjny o Wiktorze Podoskim kończy Jerzy Szeptycki następującą opinią: „Wiktor Podoski przybywa do Ameryki w pełni sił twórczych i artystycznych możliwości, które wykorzysta jeżeli znajdzie tu odpowiednie warunki. Należy wierzyć, że Polonia amerykańska przyjmie wielkiego artystę z otwartymi ramionami, tak, by czując ciepło i sympatię dokoła siebie tworzył dla chwały kraju, który dał mu schronienie.“

Józef Białasiewicz

PRZYJACIEL CHESTERTONA

80-lecie Hilarego Belloc'a

Tak jest cicho wokół Belloca, że wielu sądzi, iż umarł on dawno przed wojną. Tymczasem żyje, ale w zupełnym odosobnieniu. Kończy w bieżącym roku 80 lat.

Hilaire Belloc, najwybitniejsza obok Chestertona postać odrodzenia katolickiego w Anglii, jest wybitnym historykiem rozpatrującym dzieje powszechne z punktu widzenia katolickiego. Narówni z Chestertonem przyczynił się on w wysokim stopniu swą pełną talentu twórczością pisarską do przełamania lub zachwiania utrwalonego w umysłowości brytyjskiej systemu protestanckich uprzedzeń. Belloc nie jest jednak, jak Chesterton, angielskim konwertytą. Jest on synem oddawna w Anglii osiadłej katolickiej rodziny pochodzenia francuskiego.

Książki Belloca, tak interesująco napisane, że czyta się je niemal jak powieści, rzuciły wiele nowego światła zwłaszcza na te okresy dziejów, w których ścierały się ze sobą polityczne dążenia obozu katolickiego i protestanckiego. Postaciami, którym Belloc poświęcił szczególnie wiele uwagi, byli: kardynał Richelieu (francuski mąż stanu, który mimo, że był katolickim dostojnikiem kościelnym popierał w polityce międzynarodowej obóz protestancki ze Szwecją na czele), Oliver Cromwell i królowa Elżbieta. Belloc pisywał nie tylko dzieła historyczne, ale poruszał także sprawy aktualne. M. in. wydał w r. 1922 książkę w sprawie żydowskiej, w której opowiedział się za odseparowaniem społeczności żydowskiej od społeczeństw chrześcijańskich i przepowiedział, że jeśli ówczesna rola Żydów w życiu narodów chrześcijańskich nie zostanie szybko ograniczona, to może się to, prawem reakcji, skończyć dla Żydów straszliwą katastrofą...

Wśród rysów Belloca wspólnych z Chestertonem wymienić trzeba sympatię dla Polski. Belloc zna dość dobrze dzieje Polski i dość dobrze rozumie rolę i wpływ Polski na powszechne dzieje Europy.

Wśród tez Belloc'a są jednak niektóre świadczące o nieprzezwyciężeniu przez tego znakomitego pisarza zastarzałych nałogów myślenia tradycjonalistycznego. Tego mianowicie, które znalazło tak wymowny wyraz we wrzawie niektórych katolickich pisarzy francuskich zeszłego wieku przeciw rzekomemu amerykanizmowi katolików i hierarchii USA. Pisarze ci żyli w przekonaniu, że los Kościoła związany jest mechanicznie z losem Europy, a w niej z instytucją monarchii. Wiadomo, że przedtem jeszcze, po encyklice Leona XIII (Nobilissima Gallorum gens), kiedy Papież wyraźnie katolikom francuskim powiedział, żeby pogodzili się z republiką, gdyż Kościół nie wiąże się z żadnym ustrojem, zgorszone dewotki francuskie odprawiały publiczne nowenny w intencji „nawrócenia Papieża, opętanego przez szatana“...

Otóż Belloc, chwalca św. Cesarstwa, twierdzi, że „Prawda katolicka... została wypełniona substancją europejską. Jest misją Europy być jej żywym ośrodkiem... Kościół to Europa, a Europa to Kościół“.

Tego rodzaju teza, rozumiana dosłownie, jest idealnym zaprzeczeniem uniwersalności katolicyzmu i ograniczeniem religii chrześcijańskiej przyniesionej przez Jezusa dla całego świata — tylko do jednego kontynentu. U jej korzenia tkwi błąd, który tak zaważył na niepowodzeniu, aż do niedawnych czasów, misyj pozaeuropejskich, gdyż często misjonarze, dopóki misje były pod opieką poszczególnych państw europejskich i nieraz służyły interesom pozareligijnym, sądzili, że nawrócenie na chrześcijaństwo musi być poprzedzone nawróceniem na „europejskość“, „zachodniość“, która jest rzekomo „substancją“ katolicyzmu. Popełniano więc ten sam błąd, który potępił równo 1900 lat temu sobór Apostołów, a który polegał na tym, że Żydom, nawróconym na chrześcijaństwo wydawało się, że jeśli chodzi o pogan, przyjmowanych do Kościoła, ich nawrócenie musi być poprzedzone „nawróceniem“ na judaizm.

Nic dziwnego, że ta teza Belloca spotkała się ze sprzeciwem, a „Osservatore Romano“ przytoczywszy ją kiedyś, dodał: Prawdą jest, że Europa, która wyprze się Kościoła, wyprze się samej siebie. I zginie wraz ze swą czynną rolą kulturalną. Lecz z Europą nie zginie Kościół, bo jest on z całej ziemi i dla całej ziemi. A „szkodę odstępstwa poniesie przede wszystkim Europa sama“.

„ROZDROŻE MIŁOŚCI“

Jerzego Zawieyskiego w Londynie

Teatr Polski im. J. Słowackiego przystąpił do prób z głośnego dramatu Jerzego Zawieyskiego p.t. „ROZDROŻE MIŁOŚCI“. Sztuka ta napisana i wystawiona w Polsce w latach powojennych, spotkała się — ze względu na swoją problematykę, opartą na założeniach etyki chrześcijańskiej — z gorącym oddźwiękiem w społeczeństwie polskim w Kraju.

Autor — laureat nagrody Episkopatu Polskiego w roku 1949 — należy do czołowych pisarzy katolickich w Polsce dzisiejszej. „ROZDROŻE MIŁOŚCI“ grane było przez wszystkie teatry krajowe, uzyskując — w/g krajowych danych statystycznych — największą ilość przedstawień. Wystawienie tej sztuki na emigracji musi spotkać się ze zrozumiałym, powszechnym zainteresowaniem.

Premiera odbędzie się 8 lutego b.r. w 4 Polskim Szpitalu w Penley; w Londynie sztuka ukaże się na afiszu w drugiej połowie marca.

CIEKAWOSTKI NAUKOWE

SKĄD SŁOŃCE CZERPIE ENERGIĘ

OD najdawniejszych czasów ludzie doskonale zdawali sobie sprawę, że bez światła i ciepła słonecznego życie nie mogłoby istnieć na ziemi. Od niedawnego jednak dopiero czasu zaczęli zastanawiać się nad tym, jakie jest źródło tego promieniowania.

A jest się nad czym zastanawiać. Jak obliczono, w jednej sekundzie słońce wypromieniowuje ze swej powierzchni energię odpowiadającą fantastycznej liczbie 13 milionów, milionów, milionów kilowatgodzin, a więc energię, którąby pokryła n.p. zapotrzebowanie W. Brytanii na dobrych kilkaset milionów lat.

Na początku zeszłego stulecia wyobrażano sobie, że słońce jest olbrzymim ogniskiem, spalającym swój węgiel, czy wodór. Rychło jednak dokładne obliczenia wykazały, że w tych warunkach musiałoby słońce wyczerpać swe zapasy paliwa w ciągu około 6 milionów lat, podczas gdy znacznie od niego młodsza ziemia żyje już — jak zgodnie wskazują na to wszystkie dane około 2 miliardy (tysiące milionów) lat.

W obliczu tej sprzeczności uczeni tej miary, jak Helmholz i lord Kelvin, zaczęli doszukiwać się źródła promieniowania słonecznego w kurczeniu się jego promienia. Poprawiło to nieco szanse, ale nie wiele, bo na jakichś 50 milionów lat zaledwie. Podobnież zawiodły i wszystkie inne hipotezy, jak n.p. meteorów, upadających na słońce, promieniotwórczego rozkładu jego pierwiastków itp.

Dopiero w 1938 roku astronom amerykański Bethe, wygłosił teorię, która następnie, uzupełniona przez astronoma Gamowa i przez bogate obserwacje nad słońcem i innymi gwiazdami licznej rzeszy astronomów całego świata, stała się dziś powszechnie nieomal przyjętym poglądem uczonych.

Wedle tej teorii źródłem promieniowania słonecznego jest energia, powstająca przy przemianie czterech atomów wodoru w atom helu, gazu szlachetnego, dość rzadkiego na ziemi, znacznie zaś częstszego na słońcu. Wszak w widmie słonecznym wykryto go po raz pierwszy i stąd jego nazwa (helios — słońce). Jest to proces analogiczny do zachodzącego w bombie atomowej, przebiega tylko w kierunku odwrotnym, tworzenia pierwiastka ciężkiego z pierwiastków lżejszych, a nie rozpadu atomu cięższego na mniejsze człony, jak w bombie atomowej. Proces ten o bardzo dużej energetyczności, jest obecnie — warto może dodać — przedmiotem usilnych badań amerykańskich uczonych, którzy przy jego pomocy pragnęliby stworzyć bombę atomową o sile wielokrotnie przewyższającej bombę z Hiroszima.

Na słońcu, a raczej w jego wnętrzu, gdzie panują olbrzymie ciśnienia i temperatury, proces ten zachodzi samorzutnie. Nie będziemy go opisywać tu w szczegółach, ciekawych tylko dla specjalistów. Wystarczy może jedynie nadmienić, że odbywa się on na drodze przemian cyklicznych, kiedy to atom węgla, po przyłączeniu do siebie atomu wodoru, przemienia się w niestały, promieniotwórczy atom azotu, skąd, po szeregu przemian, w trakcie których występuje jeszcze obok azotu i tlen, w zakończeniu cyklu mamy ostatecznie atom helu, utworzony z czterech atomów wodoru i spowrotem wolny atom węgla, gotowy do rozpoczęcia całego cyklu na nowo. W ten sposób, dzięki przedziwnej celowości całego procesu, może on odbywać się przez miliony wieków, czerpiąc zapasy swe jedynie z wodoru, stanowiącego dziś około jednej trzeciej całej masy słońca, nie zmniejszając zaś w niczem znacznie bardziej skąpego jego zapasu węgla.

Co więcej, przemiana ta ma doskonale działające urządzenie samoregulujące, coś w rodzaju naturalnego zaworu bezpieczeństwa. Gdy mianowicie proces przebiega zbyt szybko, wytworzone „gazy“ o wysokiej temperaturze przedzierają się ku górnym warstwom słońca, podczas gdy na ich miejsce „spadają“ do jego wnętrza „chłodniejsze“ warstwy bardziej zewnętrzne, obniżając temperaturę wnętrza, a tym samym zwalniając tempo procesu przemiany wodoru w hel. Te kolejne przyspieszania i zwalniania procesu są — zdaniem astronomów — związane z cyklicznymi „plamami słonecznymi“, będącymi w istocie rzeczy wybuchami olbrzymich gejzerów na jego powierzchni. Nimi również objaśnić można obserwowane dość licznie okresowe pulsacje jasności niektórych gwiazd, jak n.p. delta Cephei. Większość gwiazd bowiem czerpie swą energię promienistą z tego samego źródła, co słońce, a więc z przemiany wodoru w hel.

Dzięki temu przedziwnemu, a tak prostemu systemowi, słońce utrzymuje swe tempo promieniowania na niezmienionym poziomie od conajmniej 2 miliardów lat i ma wszelkie szanse jego dalszego kontynuowania bez zmiany na jakichś jeszcze 10 miliardów lat.

Zaiste, jak słusznie stwierdza J. Kaswan w 13 numerze „Science News“, proces ów jest „jednym z najbardziej uderzających przykładów rozumu i celowej budowy wszechświata“.

Gdy więc patrzymy się na tę tak wspaniałą w swej prostocie celowość, jakże jałowe wydawać się nam muszą twierdzenia uczonych — materialistów, którzy nie mogą dla niej znaleźć innego wyjaśnienia, niż „przypadek“ lub „ślepą grę sił przyrody“.

Dziwna zaiste ślepota! Skoro na wystawie widzimy maszynę prostą w konstrukcji, a pomysłową w działaniu, podziwiamy i chwalimy talent konstruktora. Tu zaś widzimy silnik cieplny, działający przez miliardy lat regularnie i niezawodnie, genialnie prosty w swej konstrukcji, i nie chcemy uznać nieskończonej mądrości jego Stwórcy!

Czyż przykład ten nie jest raczej potwierdzeniem tezy św. Tomasza, że skoro widzimy rzecz, nie mającą własnej świadomości, a dążącą do określonego celu, uznać musimy, iż istnieje ktoś świadomością obdarzony, który ją do tego celu kieruje. Istnieć więc musi we wszechświecie, którego przedziwną i zadziwiającą w swej prostocie celowość na każdym kroku stwierdzamy, ktoś, świadomością obdarzony, kto kieruje każdą rzecz ku jej właściwemu celowi, a więc Bóg.

Zaiste, „błogosławią Panu wszystkie dzieła jego“ (Ps. 102), trzeba jedynie zrzucić pychę z serca i chcieć ich hymn pochwalny starać się odczytać.

Tadeusz Felsztyn

ZE ŚWIATA KATOLICKIEGO

ROK ŚWIĘTY

KOMINFORM A ROK ŚWIĘTY.

Z krajów rządzonych przez komunistów jedynie Jugosławia zezwoliła na pielgrzymki do Rzymu w czasie Roku Jubileuszowego. Tam jednak, gdzie rządzi Moskwa, bezpośrednio albo przez swych agentów, wszelkie pielgrzymki są zakazane. To też uchodzi już za pewne, że z Polski nie przyjedzie żadna grupa pielgrzymów. Polskie pisma katolickie natrafiają na wielkie trudności, ilekroć chcą opisywać uroczystości w Rzymie.

Kreml chciał się posunąć jeszcze dalej w swej akcji przeciw pielgrzymkom do Rzymu. Na zjeździe przywódców Kominformu w Budapeszcie pojawił się podobno wniosek, że komuniści wszelkich krajów mają uniemożliwić pielgrzymki okrętowe czy kolejowe zapomocą strajków, sabotażów lub jawnych gwałtów. Miała to być odpowiedź Moskwy na dekret Stolicy Apostolskiej z lipca 1949 r. przeciw komunizmowi.

Projekt ten spotkał się jednak z opozycją niektórych komunistów z zachodniej Europy. Szczególnie Togliatti, wódz komunistów włoskich, miał odradzać takie metody, gdyż nie doprowadzą do celu. Wiedział, że masy włoskie odnoszą się bardzo życzliwie do „Roku Świętego", a również komunistyczni robotnicy są świadomi korzyści, jakie zapewnia napływ pielgrzymów. Już w ub. roku budowano nowe drogi, hotele, schroniska dla pielgrzymów. Pamiątki, które ze sobą zabierają pielgrzymi również ułatwiają zatrudnienie tysięcy robotników włoskich.

Ostatecznie Kominform postanowił wstrzymać się od akcji sabotażowej. Aby jednak pielgrzymi poznali „potęgę" komunizmu we Włoszech, partia komunistyczna zorganizowała demonstracje robotników rolnych pod hasłem rozdziału nieuprawianych gruntów, a ponadto od czasu do czasu wybuchają ostre strajki. (CHIP)

PREMIER IRLANDZKI NA PIELGRZYMCE W RZYMIE

Premier Irlandii, p. John Costello, odbył wraz z żoną i dziećmi pielgrzymkę do Rzymu; zatrzymał się w Rzymie przez 12 dni. Był on przyjęty na prywatnej audiencji przez Ojca Świętego. Jest to jego pierwszy w życiu pobyt w Rzymie.

Czy wielu polityków polskich odbędzie w czasie Roku Świętego pielgrzymki do Rzymu?

AKTOR NAWRÓCONY PRZEZ FILM

Znany aktor filmowy, Emil Jannings, miał grać czołową rolę w filmie „Rok Święty" i przygotowując się do tego zadania przestudiował zasady wiary katolickiej (był wyznania ewangelickiego). Wywarło to na niego tak wielki wpływ, że gdy się wkrótce potem rozchorował, zdecydował się na łożu śmierci przyjąć wiarę katolicką i umarł jako katolik.

Emil Jannings występował w kilku filmach hitlerowskich, sąd denazyfikacyjny stwierdził jednak, że nie był on zwolennikiem hitleryzmu.

POLSKA

INDULT DLA POLAKÓW W POLSCE

Prymas Wyszyński ogłosił rozporządzenie Stolicy Apostolskiej, że katolicy w Polsce mogą uzyskać odpusty związane z Rokiem Świętym bez udawania się do Rzymu.

Z tych samych przywilejów korzystają katolicy całego świata, którzy nie mogąc się udać do Rzymu, dopełnią warunków odpustu, oznaczonych przez swych Ordynariuszy. Zza żelaznej kurtyny jednak pielgrzymki nie będą wogóle dozwolone. Z państw, rządzonych przez komunistów, zezwala na nie jedynie Jugosławia.

NAPAŚĆ NA UNIW. KATOLICKI

„Trybuna Ludu", naczelny organ komunistów polskich, zaatakowała w dniu 10 stycznia władze Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego o to, że Senat Uniwersytetu, w słusznej trosce o to, by młodzież się uczyła, a nie demoralizowała w agitacji komunistycznej, zabronił kółkom naukowym przystępować do komunistycznej Federacji Polskich Organizacji Studenckich.

Organ Bieruta napadł z tego powodu na Katol. Uniwersytet Lub. twierdząc, że:

„jest to próba stworzenia jakiegoś rezerwatu wstecznictwa i izolacji młodzieży studiującej na KUL od wszystkiego, czym żyje nasza młodzież, czym żyje cały kraj. Widocznie bardzo obawiają się żyjących dniem wczorajszym profesorowie KUL, by wśród studentów tej uczelni nie powiał świeży wiatr, który przeczyściłby zatęchłą atmosferę wojującego kleryka.izmu".

Atak ten jest widocznie zapowiedzią jakiejś nowej akcji przeciw Uniwersytetowi Katolickiemu, którego rola jest coraz bardziej ograniczana na rzecz drugiego, konkurencyjnego uniwersytetu im. Marii Curie-Skłodowskiej, założonego w tymże Lublinie.

Partia komunistyczna zwraca baczną uwagę na młodzież i wciąż nawołuje do zaostrzenia walki o „demokratyzację" szkolnictwa. „Trybuna Ludu" wzywała nie dawno do spotęgowania agitacji komunistycznej wśród nauczycieli, którzy powinni prowadzić w szkołach „pracę partyjną".

„Wrogowie Polski Ludowej" — pisała „Trybuna Ludu" — elementy kapitalistyczne w mieście i na wsi oraz reakcyjna część kleru i tu i tam, usiłują wywierać nacisk zarówno na nauczycieli, jak i na młodzież szkolną oraz rodziców" (CHIP)

ODBUDOWA GDAŃSKA

Pomyślne wiadomości nadchodzą z Gdańska: zabytki artystyczne i historyczne Gdańska w szybkim tempie się odbudowują. Kościół Mariacki w roku bieżącym otrzyma dach i sklepienie. Odbudowa ratusza przy Długim Rynku jest w pełnym biegu: wieża jest już odbudowana, rekonstruuje się już na niej hełm, wkrótce wzniesiony zostanie na jej szczycie posąg króla Zygmunta Augusta, sale reprezentacyjne ratusza mają być wykończone w roku bieżącym. Dwór Artusa pokrywa się dachem. Kamienica królewska jest w stadium odbudowy. Żóraw portowy nad Mołtawą odbudowuje się. Mury Zielonej Bramy będą w roku bieżącym gotowe w stanie surowym. W Zbrojowni odbudowuje się parter. Baszty: „Łabędzia", „Słomiana" i „Patrz w górę" otrzymują nowe hełmy. Szereg zabytkowych kamieniczek jest w odbudowie. Tak więc stary Gdańsk zniszczony również przez Niemców i — świadomie — przez Rosjan, odzyskuje swoją historyczną szatę.

Trzeba z radością stwierdzić, że w Polsce niezmiernie wiele się robi dla odbudowy zniszczonych zabytków. Prócz Gdańska szczególnie wiele na tym polu zrobiono w Warszawie i Wrocławiu.

AFRYKA

KATOLICKI KRAJ MURZYŃSKI WALCZY O SWĄ SAMODZIELNOŚĆ

Unia Południowo-Afrykańska, w której u steru władzy jest dziś nacjonalistyczny rząd boerski doktora Malana, zwróciła się do rządu brytyjskiego z żądaniem przekazania pod jej władzę kilku kolonij i protektoratów brytyjskich, leżących w południowej Afryce, z których największym jest kraj Bechuanaland. Terytoria te nie należą dotychczas do Unii będącej osobnym dominium w obrębie Imperium Brytyjskiego, lecz podlegają bezpośrednio Wielkiej Brytanii.

Kraje te posiadają ludność murzyńską i duży zakres murzyńskiej samodzielności, wyrażającej się przede wszystkim w rozległym zakresie władzy miejscowych murzyńskich królów i sprawowanych przez nich rządów. Natomiast w Unii Południowo-Afrykańskiej Murzyni pozbawieni są wszelkich politycznych praw, a władza sprawowana jest wyłącznie przez górnę warstwę społeczną, jaką stanowi ludność biała. Obecny rząd nacjonalistyczny p. Malana podkreśla zasadę wyłączności białych rządów w Południowej Afryce w sposób szczególnie dobitny i posiada ideologię wręcz nazistowską. Rzecz prosta, kraje murzyńskie, zagrożone przyłączeniem do Południowej Afryki uważają taką możliwość za zupełne pogrzebanie swej względnej samodzielności i swego dość szybko postępującego rozwoju. Murzyńskie czynniki kierownicze tych krajów oświadczyły, że jeśli rząd brytyjski zdecyduje się oddać te kraje Południowej Afryce — to stawią one opór z bronią w ręku.

Jednym z krajów zagrożonych boerską aneksją i broniących swej samodzielności (pod protektoratem brytyjskim), jest kraj Basutów (Basuto Land).

Kraj ten stanowi enklawę brytyjską, ze wszystkich stron otoczoną przez terytorium południowo-afrykańskie. Zarówno ze względu na swoje położenie w środku kontynentu, jak i na to, że leży we wnętrzu masywu górskiego Drakenbergów, nazywany jest on często afrykańską Szwajcarią. Liczy on około pół miliona wyłącznie murzyńskiej ludności.

Więcej niż połowa tej ludności jest wyznania katolickiego. Od roku 1924 katolikiem jest również i miejscowy władca.

Kościół katolicki rozkrzewiony został w kraju Basutów przez OO. Oblatów, którzy zorganizowali na terenie tego kraju 45 misyj. Każda misja, oczywiście, obsługuje całą sieć miejscowości.

KANADA

KANADYJSKA CZĘSTOCHOWA

Przyzwyczailiśmy się uważać kontynent amerykański za obszar dopiero od niedawna ogarniany wpływem katolicyzmu, a więc pozbawiony życia katolickiego o typie tradycyjnym. Tymczasem w rzeczywistości jest w Ameryce szereg krajów odwiecznie katolickich, o życiu katolickim podobnym do tego, co w starych krajach katolickich Europy. Krajami tymi są z jednej strony kraje Ameryki Południowej i Środkowej, mówiące po hiszpańsku, lub po portugalsku, z drugiej strony — francuska Kanada.

Kraje te mają też i swoje słynne miejsca pielgrzymkowe, swoje cudowne obrazy i miejsca odpustowe.

Słynnym, tradycyjnym miejscem pielgrzymkowym w Kanadzie jest St. Anne de Beaupré.

W roku ubiegłym w dzień św. Anny przybyło do St. Anne de Beaupré 60.000 pielgrzymów, — zarówno z Kanady, jak i ze Stanów Zjedn.

SZKOCJA

700 TYSIĘCY KATOLIKÓW W SZKOCJI

Szkocja posiada dziś dwa razy więcej katolików niż w r. 1900, a mianowicie 721.300, co wobec ok. 5 milionów całej ludności stanowi 14 do 15 procent.

Katolicy szkoccy posiadają 992 księży oraz 475 kościołów i kaplic.

Największym skupieniem katolików jest diecezja Glasgow, która ma 313.075 wiernych. Największą jest diecezja Argyll i Wysp obejmująca wyspy Hebrydy i przyległy skrawek wybrzeża. Liczy ona tylko 12 tysięcy wiernych, ale za to są wśród nich grupy ludności wyspiarskiej, która pozostała, w zapadłych zakątkach, wierna wierze katolickiej od czasów reformacji. Natomiast katolicy w Glasgow stanowią w znacznej części ludność napływową pochodzenia irlandzkiego.

Warunki bytu Kościoła katolickiego w Szkocji są nieco inne niż w Anglii. Więcej tam, zwłaszcza na prowincji, przechowanej starej niechęci protestanckiej wobec katolicyzmu. Z drugiej strony mniejszy tam jest, niż w Anglii, wpływ prądu obojętności religijnej

HISZPANIA

PROCES BEATYFIKACYJNY MĘCZENNIKÓW Z HISZPAŃSKIEJ WOJNY DOMOWEJ

Toczy się w Hiszpanii proces beatyfikacyjny 51 członków zgromadzenia klarecjan, z tego 9 księży, 37 kleryków i 5 braci, którzy zostali wymordowani przez „czerwonych" w miejscowości Barbastro w Hiszpanii w r. 1936 w czasie wojny domowej.

NIEMCY

POTRZEBA 25 TYSIĘCY ZAKONNIC

Gazeta bawarska „Bayerisches Klerusblatt" stwierdza, że w Niemczech pilnie potrzeba 25 tysięcy nowych zakonnic. Jak temu brakowi podołać, skoro za mało jest powołań?

Należy się obawiać, że wedle tej skali obliczeń, w Polsce jest jeszcze większy brak zakonnic, tyle tylko, że niedostateczna ilość powołań zakonnych trwa już u nas od tak dawna, że po prostu przestaliśmy sobie zdawać sprawę, w jakich dziedzinach życia obecność sióstr byłaby potrzebna. Należymy chyba do najbardziej laickich społeczeństw katolickich świata.

LISTY DO REDAKCJI

W sprawie subskrypcji

P. Jędrzej Giertych przypomniał Redakcji ŻYCIA, że „Książka o Kołymie" i „Brewiarz dyplomatyczny" mają poprzedników jeśli chodzi o wydanie książki na zasadzie przedpłaty. Pierwszą książką tak wydaną była jego własna „Polityka polska w dziejach Europy", drugą miało być nowe wydanie „Polityki polskiej i odbudowania państwa" Dmowskiego, ale gdy znalazły się na nią fundusze, p. Giertych przekazał wydawnictwu pozyskanych już prenumeratorów. Pan Giertych również sugerował rok temu p. Krakowieckiemu, by swoją książkę wydał na zasadzie przedpłaty.

RED.

Muzyka w Londynie

Szanowny Panie Redaktorze!

W dwie pierwsze soboty miesiąca stycznia tego roku, a więc w okresie świąt Bożego Narodzenia o godzinie 2.30 po poł. Królewskie Towarzystwo Śpiewacze (The Royal Choral Society) dawało przepiękną rzecz. Koncert religijny, oratorium pt. „M e s j a s z" Handla.

Tylko przypadek sprawił, że mogłem uczestniczyć w tej biesiadzie duchowej, gdyż na ten temat w całej prasie polskiej było całkiem głucho, a szkoda.

Otóż, ponieważ Oratorium to będzie jeszcze raz w tym roku dawane w **Wielki Piątek** o godz. 2.30 ppł. (będzie to 183 przedstawienie od roku 1873), a zaiste byłoby wielką szkodą, gdyby Polacy w tym dniu, kiedy w kraju przyzwyczajeni byli odwiedzać Boże Groby, czego tutaj nie będą mogli czynić, nie mogli wziąć udziału w tym religijnym koncercie z życia Chrystusa Pana, li tylko z tej przyczyny, że o tym nikt ich nie powiadomił.

Dlatego niniejszym listem pragnąłbym tak powiadomić, jak też i zachęcić liczne rzesze Polaków podając garść szczegółów.

Koncert odbędzie się w Albert Hall'u, znanym Polakom choćby tylko z koncertu Małcużyńskiego. Królewski Chór, biorący udział, składa się z 280 kobiet i 200 kilkunastu mężczyzn. Do tego dochodzi orkiestra symfoniczna złożona z około 80 osób, plus 4 solistów (sopran, alt, tenor i bas), no i organy. Treść solistów łatwo się rozumie, bo soliści wyraźnie śpiewają, a pozatem są do nabycia programy po 6 d. Najwznioślejszym punktem koncertu i zarazem najbardziej wzruszającym jest śpiewane fortissimo „Alleluja", kiedy to jak w czasie hymnu narodowego, wszyscy wstają i w rzewnym nastroju słuchają słów: „On będzie panował na wieki. On Król królów, Pan panów. Alleluja".

Ponieważ Anglicy tłumnie na to chodzą i mają w zwyczaju zawczasu kupować bilety, a ponieważ bilety już są od **23 stycznia** w przedsprzedaży, dlatego serdecznie radzę tym wszystkim, którzy by pragnęli posłuchać i zobaczyć to Oratorium, by j u ż pomyśleli o kupnie biletów.

Łączę etc.

X. Adam Wróbel

MIĘDZYNARODOWE BIURO POSZUKIWAŃ IRO A ROLSEN/KASSEL, poszukuje:

ANZELM Halina, lat mniej więcej 25—30, ur. w m. Sosenkowo, Polska; prawdopodobnie przebywa obecnie w Anglii albo Belgii;

BACZKOWSKI Teofil, ur. 24. 12. 1922. w Warszawie; wywieziony podczas powstania warszawskiego do Niemiec;

BARANIK Tomasz Tadeusz, ur. 29. 12. 1909 w m. Sławków, Polska; ostatnie miejsce zamieszkania: Sarny, Polska;

BOMBAS Ludwik, lat mniej więcej 55, ur. w Lwowie; przypuszczalnie przebywa w Londynie;

CIESIELSKI Łucjan, ur. 17.4.1923 w Częstochowie; był w obozach konc. Oranienburg i Sachsenhausen koło Berlina;

DĄBROWSKI Albin, ur. 1.3.1884 albo 1894; wywieziony podczas powstania warszawskiego przez Pruszków, Oświęcim i Flossenburg, do obozu konc. Natzweiler; w grudniu 1945 przebywał prawdopodobnie we Włoszech;

DELKEWICZ albo DELKIEWICZ Luba, ur. 1916 w m. Bilicz Górny, Polska; prawdopodobnie przebywa obecnie w Niemczech albo Austrii;

DOMBROWSKI Kazimierz, ur. 16.10. 1910 w m. Pietrowska; prawdopodobnie przebywał w roku 1945 w bryt. strefie okup. Niemiec;

FEDOROWICZ Aleksander, ur. 24.2. 1886 w m. Błotkowo; ostatnia wiadomość z obozu konc. Sachsenhausen;

GAWĘCKI Henryk Jerzy, ur. 25. 1. 1920 w m. Witebsk, Rosja; ostatnio widziany we wrześniu 1944 w Komorowie koło Pruszkowa, Polska;

GAWŁOWSKI Roman, ur. 9.8.1918; był w roku 1939 w polskiej Armii; ostatnia wiadomość z okolicy Stolina, Polska;

GÓRSKI Hieronim, ur. 7.3.1928; zabrany w roku 1944 do niemieckiej Armii;

GRADOWSKA z domu ROMANEK Petronela, ur. 22.1.1922 w m. Antanówka albo Antonówka, woj. lubelskie; prawdopodobnie wywieziona w maju 1941 do Niemiec;

GREGORCZUK Edward Bolesław, ur. 6.8.1924 w Warszawie; prawdopodobnie wywieziony podczas powstania warszawskiego do Niemiec;

GRONO albo GRONOWSKI Aleksander, nr. 12.10.1911 w m. Sławkowo, Polska; był w roku 1939 w polskiej Armii i dostał się do niemieckiej niewoli;

GRONOWICZ Wacław, ur. 1914 w m. Zastawa, pow. Horochów; przypuszczalnie dostał się w roku 1939 do niemieckiej niewoli;

HEJKIE Franciszek, ur. 2.9.1903; zabrany w roku 1943 do niemieckiej Armii; ostatnia wiadomość z Włoch;

HORBOTOWICZ Anastazja, lat mniej więcej 39. wywieziona w roku 1944 z Włodzimierza Wołyńskiego do Niemiec; obecnie przebywa prawdopodobnie w jednym z obozów DP w Niemczech;

HORBOTOWICZ Danuta, lat mniej więcej 18, wywieziona w roku 1944 z Włodzimierza Wołyńskiego do Niemiec; obecnie przebywa prawdopodobnie w jednym z obozów DP w Niemczech;

JABŁOŃSKI Zenon, ur. 8.8.1928; wywieziony do Niemiec; ostatnio przebywał prawdopodobnie we Włoszech albo Egipcie;

JANUSZKIEWICZ Stanisław Bolesław, ur. 20.4.1913 w Jarosławiu, Polska; aresztowany w Krakowie w grudniu 1944 i wywieziony do obozu konc. Gross-Rosen; ostatnia wiadomość wiosną 1945;

JUSZCZAK Krystyna, ur. 4.10.1928; ostatnia wiadomość z m. Bankwitz, pow. Trzemeszno, woj. poznańskie;

KOLETA Franciszek, lat mniejwięcej 50; ostatnia wiadomość 1942 z okolicy Irkutska, Rosja;

KOWALSKI Stanisław, lat mniejwięcej 50; prawdopodobnie wywieziony z Warszawy do Niemiec;

KRAJNIK Stanisław, ur. 29.4.1903 w m. Gniewkowo, Polska; ostatnia wiadomość w roku 1943 z Algieru;

KULACZOK Timosz, ur. 2.5.1917, mieszkał w m. Drozdnie, p-ta Żubiłów, pow. Kowel, Polska; ostatnia wiadomość z Chełma Lubelskiego;

KUNKA Jadwiga, ur. 1928; wywieziona z Warszawy do obozu konc. Oranienburg; ostatnia wiadomość w kwietniu 1945;

KRYSIAK Zygmunt mieszkał w Toruniu; ostatnia wiadomość z Zagłębia Rury;

MANOWSKI Otto, ur. 7.10.1929; ostatnia wiadomość w roku 1945 z Rongsberg, Niemcy;

MARKOWSKI Antoni, ur. 1919 w m. Załucze; był na Węgrzech; obecnie przebywa prawdopodobnie w jednym z obozów DP w Niemczech;

MATUSIAK Władysław, lat, mniejwięcej 44, ur. w m. Lebno, pow. Kostopol; wywieziony w roku 1940 do Rosji; ostatni znany adres: Archangielsk, Rosja;

MASIEWICZ Jerzy, ur. 4.3.1928; aresztowany podczas powstania warszawskiego i prawdopodobnie wywieziony do Niemiec;

NALEPA Władysław, ur. 5.5.1912 w m. Męczynka; prawdopodobnie wywieziony do Niemiec;

OLSZEWSKI Wadim, ur. 1.11.1905 w m. Puławy; wywieziony z Warszawy do obozu konc. Sachsenhausen, później w lutym 1945 do obozu konc. Buchenwald;

OLSZEWSKI Bolesław, ur. 19.12. 1929; wywieziony w roku 1945 do Niemiec;

OSTOJA-MALINOWSKI Wacław, ur. 19.1.1896 w Grodnie, Polska; był w roku 1944 w obozie konc. Buchenwald; obecnie przebywa prawdopodobnie w Anglii;

PASKO Leon Henryk, ur. 11.4.1925 w Wilnie; przebywał w Rosji; ostatnia wiadomość 1942 z Iranu;

PAWLIKOWSKI Konstantyn, ur. 2.12.1933; był w niemieckiej Armii; ostatni znany adres: Feldpost Nr. 63077, Hamburg, Niemcy;

ZAPISKI LONDYŃSKIE

Brytyjskie wydarzenia kulturalne ostatniego okresu

ZGON ORWELLA

Dnia 21 stycznia zmarł w Londynie George Orwell, wybitny powieściopisarz, satyryk, publicysta i krytyk. Orwell, który dożył zaledwie 46 lat chorował od dłuższego czasu na gruźlicę. W ostatnich latach przebywał głównie na wyspie Jura, w archipelagu hebrydzkim; niedawno przewieziony został do kliniki w Londynie w stanie już beznadziejnym.

Orwell należał do tej licznej plejady pisarzy angielskich, których pasjonują przede wszystkim zagadnienia ideowe i polityczne w najszerszym znaczeniu tego słowa. Za bezpośrednich poprzedników jego w tym zakresie uważać należy pisarzy i publicystów, tak różnych zresztą w swych poglądach, jak G. K. Chesterton, H. Belloc, G. B. Shaw, H. G. Wells, R. Kipling, Bertrand Russell. W świecie dzisiejszym, w którym godność ludzka i swoboda jednostki takiemu uległy podeptaniu, Orwell reprezentował poglądy, zbliżone częścią do B. Russella, częścią do Chestertona, choć od tego ostatniego różnił się swym pesymizmem i skłonnościami purytańskimi.

Nie znosił wszelkiego oportunizmu myślowego, ani hipokryzji, oddającej wielkie wartości moralne na pastwę tej czy innej przemijającej taktyki politycznej. Potępiał od początku politykę „appeasementu"; w swych artykułach i szkicach niejednokrotnie występował w obronie Polski.

Ulubioną jego bronią ideową była satyra; twórczość jego w tej dziedzinie przypominała „Podróże Guliwera" i inne utwory Jonathana Swifta. W r. 1937 ukazała się pierwsza jego rzecz z tego zakresu „The Road to Wigan Pier", skierowana przeciw lewicowym intelektualistom angielskim typu prokomunistycznego. Sławę, przekraczającą granice Anglii, zjednała mu jednak dopiero wydana w r. 1945 „Animal Farm", satyra na państwo sowieckie. Książka ta rozeszła się w 750.000 egzemplarzy w swej wersji angielskiej i została przetłumaczona na 14 języków. M.in. ukazał się w Londynie przekład polski, dokonany przez Teresę Jeleńską.

Drugą jego wybitną satyrą polityczną, która ukazała się niewiele ponad pół roku temu, była ponura wizja przyszłości „1984", przypominająca Huxleya „Wspaniały nowy świat", ale korzystająca już z doświadczeń ostatniego dwudziestolecia. Książka ta, mimo wszystkiego, co można jej zarzucić, znalazła szeroki oddźwięk wśród ludzi myślących nie tylko w W. Brytanii, ale także we Francji, Włoszech i w Stanach Zjednoczonych.

Orwell (którego właściwe imię i nazwisko brzmiało Eric Blair) pochodził z niezamożnej rodziny angielskiej, osiadłej w Indiach. Otrzymawszy stypendium, kształcił się w Eton, później zaś przez lat pięć służył w policji w Birmie (swe przeżycia tamtejsze zobrazował w powieści „Burmese Days"). Powróciwszy do Europy pełnił najskromniejsze zajęcia począwszy od zmywania talerzy w Paryżu. W r. 1936 brał udział po stronie republikańskiej w wojnie domowej w Hiszpanii i został ciężko ranny. W czasie drugiej wojny światowej był m. in. sierżantem w Home Guard. Pracował w różnych pismach, najdłużej w „Tribune", jako redaktor działu literackiego. Z każdego jego artykułu biła prawość i odwaga, tak go wyróżniająca od wielu jego kolegów po piórze.

NA CO IDĄ PIENIĄDZE?

Od szeregu lat istnieje w W. Brytanii ciało półoficjalne pod nazwą Rady Sztuki (Arts Council); jednym z jej głównych zadań jest rozdział subsydiów państwowych między instytucje artystyczne, w szczególności także teatr.

Sposób w jaki fundusze te są rozdzielane, wywołał ostatnio surową krytykę ze strony znanego publicysty, b. naczelnego redaktora „Observera", Ivora Browna. Stwierdza on, że połowa prawie wszystkich subsydiów na cele teatralne pochłaniana jest przez operę Covent Garden, która w roku ubiegłym otrzymała £ 145 tysięcy subwencji, blisko o 50.000 więcej, niż w roku poprzednim. Znany balet Sadler's Wells dostał £ 40 tysięcy, tzw. English Opera Group £ 5.000, a cała reszta teatrów w Anglii, Szkocji i Walii niewiele ponad £ 100.000. Brown uważa ten podział funduszów za niesprawiedliwy, zbytnio faworyzujący Londyn, a natomiast krzywdzący prowincję. Na temat jego artykułu wywiązała się gwałtowna polemika.

MALOWIDŁA PRZEDHISTORYCZNE

Jak wiadomo w r. 1940 dokonano w Lascaux koło Perigord we Francji sensacyjnych odkryć; w jednej z jaskiń znaleziono mianowicie na skałach niezwykle interesujące malowidła, pochodzące z okresu paleolitycznego. Fotografie tych najstarszych prawdopodobnie zabytków sztuki ludzkiej ukazały się niedawno w formie książkowej we Francji, ostatnio zaś pojawiły się także w angielskim wydaniu w Londynie pt. „The Lascaux Cave Paintings" (Faber and Faber, cena 42 sh). Malowidła paleolityczne — jak to podkreślił już G. K. Chesterton w książce swej „The Everlasting Man" — obalają tezę o zupełnej jakoby dzikości i prymitywiźmie „człowieka jaskiniowego" sprzed 15 czy 20 tysięcy lat.

ZAKAZ PRZYWOZU KSIĄŻEK ANGIELSKICH DO POLSKI

Prasa angielska donosi, że władze warszawskie zakazały dalszego przywozu angielskich książek, periodyków i pism angielskich do Polski, motywując to tym, że ambasada brytyjska w Warszawie nie ma na to licencji handlowej.

Import książek angielskich rozpoczął się w lutym 1946 r. i wkrótce osiągnął poważne rozmiary. W ostatnim roku cena sprzedażna książek, importowanych do Polski, oceniana była na £ 54.000. Ogółem 109 księgarzy w Polsce, w tym trzy organizacje państwowe, zamawiało książki angielskie za pośrednictwem ambasady brytyjskiej. W ciągu ostatnich 12 miesięcy wysłanych zostało z Anglii do Warszawy około 200.000 książek.

Podobnie pośredniczyła ambasada w sprowadzaniu periodyków. Ostatnio rozchodziło się w Polsce 1,200.000 egzemplarzy periodyków brytyjskich rocznie. W liczbie tej było 165.000 egzemplarzy pism niedzielnych. Samego „Sunday Timesa" rozchodziło się tygodniowo 500 egzemplarzy. Roczna wartość importowanych periodyków wynosiła £50.000.

WIECZORY DYSKUSYJNE

BEZ NIEDOMÓWIEŃ

Pójść, czy nie — na zebranie dyskusyjne „Moralność w sztuce", mające się odbyć w Ognisku w Londynie dn. 12 grudnia b.r. — No chodźmy. Może znowu usłyszymy jacyśmy to wrogowie postępu, sztuki... Cóż szkodzi, że się dowiemy, że niektórzy przejrzeli i wieszczą już, co z nas za czarne dusze? No i poszliśmy.

Na sali dużo ludzi. Ciekawi, co powiedzą „znawcy" o moralności w sztuce. Może coś znowu wywloką z przeszłości? Ta sprawa moralności w sztuce — rozreklamowana, a raczej rozwiedowana (metodą przekręcania i demagogicznymi chwytami) przez bardzo wprawnego we władaniu piórem, znanego publicystę, który nie liczy się z prawidłami domagającymi się poszanowania cudzej myśli — zainteresowała wielu.

Moralność... to niewygodne. Zatem i niepotrzebne artyście, który tworzy. Sztuka to władczyni, która „nie zna co to pany". Zebranych na sali trzeba odpowiednio nastawić.

Następuje otwarcie. Od stołu przewodniczącego idzie wyraźny wysiłek stworzenia atmosfery pobłażliwej satyry. Na wszelki wypadek. Ktoś może powie coś mądrego i gotów przekonać salę, lepiej więc już z góry wszystko wykpić i ośmieszyć. Po trzech kwadransach publiczność dobrze urobiona, przygotowana. Niech teraz słucha.

Zabiera głos Ks. Kirschke i — doskonale wyczuwając atmosferę — dowcipem paruje we wstępie metodę, która miała wszystko osądzić żartem i kpinami. Po wstępie, przychodzi do samego zagadnienia. Ujmuje problem świetnie, ubiera w piękną, zwartą formę. Wyjaśnia dokładnie jakie są obowiązki uznania w sztuce moralnych podstaw, wylicza reguły, jakie obowiązują pisarza.

Sala była pod wrażeniem tego świetnego referatu, czemu dała wyraz oklaskami. Przewodniczący chciał to osłabić, uciekając się do żartu. Nie myślę, by chwyt ten został bezkrytycznie przyjęty.

Następne referaty były również bardzo dobre. Pani Zahorska mówiła o sumieniu wewnętrznym i zewnętrznym-konwencjonalnym, jako o odpowiedniku podwójnej moralności. Kładła nacisk na wartość tego sumienia wewnętrznego, ale w rezultacie, poza potępieniem pięknym zwrotem końcowym faryzeizmu, nie powiedziała nam na czym polega to sumienie wewnętrzne i czym ma się kierować. Nie dowiedzieliśmy się również, jaki ma być wpływ owego wewnętrznego sumienia na szukę i artystów.

Dr. T. Terlecki podkreśla, jako podstawowe i istotne cechy twórczości artystycznej, wolność i odpowiedzialność. Ale znowu czekamy na wyjaśnienie, jak to ma wyglądać w praktyce, jak w sztuce ma się przejawiać ta odpowiedzialność?

Słyszę szept:

— Coś ta lewica Bogu świeczkę i diabłu ogarek... Nie ma odwagi jasno postawić sprawy...

W swym pięknym referacie mówił nam Dr. Terlecki o abatessie irlandzkiej — autorce sztuki teatralnej do której wprowadziła motyw domu publicznego i dziwił się, że nie spadły na nią ekskomuniki i, że ówczesna opinia publiczna nie wybiła w klasztorze szyb. A ja się temu wcale nie dziwię. W sztuce swej napewno nie apoteozowała rozpusty, chyba wręcz odwrotnie. I w tym właśnie leży całe zagadnienie dotyczące moralności w sztuce. Sztuka nie śmie torować grzechowi i niemoralności drogi do zakorzenienia się i uprawnienia w życiu.

Nie chodzi bowiem o to, by w sztuce nie było wzmianki o rzeczach tak zwanych drastycznych, aby nie poruszano w niej zagadnień grzechu. Pewnie, że w takim wypadku milczenie stworzyłoby jakąś nieżyciową sztuką, jakąś sztukę „sztuczną", daleką od życia. Chodzi jednak o to, by nie było w niej propagandy grzechu. By nie budziła w umysłach widza i słuchacza poczucia, że to, co nie odpowiada tak boskiej jak ludzkiej moralności, przestało być uznawane za zło i grzech, — że grzechem i złem nazywa je już tylko ciasnota jakichś poglądów reakcyjnych i zacofanie „sutanników", — że wreszcie to wszystko co ci „purytanie" i „faryzeusze" nazywają grzechem, jest w życiu czymś poprostu koniecznym.

Wszelka drastyczność staje się często wulgarną pobudką do śmiechu lub najłatwiejszą drogą do zdobycia popularności i „robienia kasy".

I tu zaczyna się rola sumienia, rola odpowiedzialności zarówno autora, jak i artystów. Odpowiedzialność ta ma przejść do działania i okazać się nie tylko we wzniosłych teoretycznych wywodach, czy w samej piękności i głębi słów — ale w praktyce przede wszystkim.

Zabierała i sala głos w dyskusji. B. sędzia, dziś wychowawca małoletnich już nieraz przestępców — podkreślał poczucie prawdziwej moralności u artystów. Nie tej swoistej, wyobrażonej, ale obiektywnej i niezmiennej. Sumienie każdego człowieka — a więc i artysty oddanego na służbę ludzkości przez sztukę — musi znaleźć i przyswoić sobie te niezmienne reguły i wskaźniki a wtedy wolność nie stanie się nigdy samowolą ani niszczycielską siłą kultury i moralności lecz zdobędzie wartość twórczą, opartą o pełne poczucie odpowiedzialności.

Oczywiście, mam tu na myśli odpowiedzialność przed całym społeczeństwem — no i Bogiem — a nie odpowiedzialność przed salą, która nieraz, porwana podnieceniem niższych i najniższych skłonności, potrafi oklaskiwać nie tylko wulgarność, nie tylko dwie, wprost sobie przeciwne opinie, ale nawet oczywiste zło.

Sztuka, tak po przez książkę jak po przez teatr ma w swym założeniu potężne siły sugestywnego działania, a tym samym wpływ wychowawczy. Zatem — co tu dużo mówić — sztuka będzie albo dobrą szkołą w swoim społeczeństwie albo złą, zależnie od tego, jaką drogę wybierze.

Śmiały referat p. Bielatowicza, poparty cytatami głębokich myślicieli, przeważnie filozofów katolickich dzisiejszej doby, wykazał, że nie ma dla teatru, ani dla żadnej innej sztuki, etyki swoistej, ale jest jedna tylko — etyka ewangelii.

Tu znowu od stołu przewodniczącego rzucono kilka dowcipów, które próbowały obniżyć wrażenie referatu.

P. Bielatowicz podkreślił w zakończeniu swego przemówienia, że życie jest splątane z grzechem i słabością, a tym samym i sztuka, czująca rytm życia, nie może nie mówić o grzechu. Oczywiście, ale — jak już wspomniałem — trzeba czuwać by sztuka przez książkę, teatr czy przez inne swe możliwości, nie ściągała społeczeństwa ku złemu i w złem go nie wychowywała, gdyż czyniąc tak osłabiałaby lub zabijała wręcz dobre wartości piękna, tego piękna, którego blask roztaczać może jedynie będąc w zgodzie z moralnością.

Czy porozumiemy się kiedy z tymi, którzy chcą mieć w sztuce wolność nieskrępowaną, którzy chcą robić to tylko, co się im samym podoba, którzy chcą mieć prawo rzucania przed oczy widzów całej nieraz wulgarności, nieuporządkowania i brudu, noszonego we własnym wnętrzu?

Przypuszczam, że nie tylko mnie zastraszyło w dyskusji powiedzenie przewodniczącego tego ciekawego zebrania. „To nie dla was, tu obecnych, pisze się te sztuki, ale dla tych maluczkich z obozów..." Ejże? Czy oni aby naprawdę tacy maluczcy? Więc to dla nich wyłącznie te sztuki? Poto, by mieli polskie słowo, mówiące im o tym jednym — o tej najczęstszej fabule naszych sztuk? A ja sądzę, że im należą się inne tematy, że inna powinna być treść tych dla nich właśnie pisanych sztuk. Znający teren zgodzą się ze mną napewno.

No, ale dalej ku końcowi.

Wiek XIX i początek naszego stulecia rozpętał w życiu społecznym laicyzm, który był całkiem usunął Chrystusa i Jego Ewangelię, zamykając to coś niby przestarzałego — w murach prywatnego życia, byleby tylko nie wchodziło w życie społeczeństwa.

Przeciw tej tendencji laicyzmu rzucił hasło Pius X, wzywając do czynu. „Restaurare omnia in Christo" — wszystko odnowić w Chrystusie. Wszystko — to znaczy całe życie człowieka w każdym przejawie, a więc i w tym przejawie potrzeby ludzkiego ducha, jakim jest sztuka.

Wyprowadzić ją z brudu i namiętności, w które się ją nieraz spycha i wciska, dać jej możność nauczania, apostołowania nawet i walki o pełną wartość człowieka, o jego godność, kroczącą drogami wytkniętymi przez moralność Ewangelii!

Chrześcijańska moralność obowiązuje sztukę chrześcijańską. Z inną sztuką trzeba z miłością stanąć do walki. Z miłością sprawy Chrystusa i dusz.

Ks. Włodzimierz Cieński

PRZEGLĄD MUZYCZNY

WĄTPIĘ czy te konkursy piękności tak szumnie opisywane przez „Dziennik Polski" będą miały pożądany efekt.. Bo niby czym mogą pochwalić się kobiety w długich sukniach? Chyba tylko długimi sukniami, a w konkursie nie o to chodzi. Nowoczesny świat hołduje bowiem dwu rzeczom: temu, co się nazywa odzewem płci, czyli nadmiarowi stanu faktycznego i tandecie, czyli połowicznemu załatwianiu rzeczy. A więc mamy modę na mieszkanie w jak najtandetniejszych domach „tymczasowych", (których budowa zresztą trwa dłużej niżeli dawnego dwupiętrowego domu), na noszenie ubrań gwarantowanych jako „utility"; zamiast smacznych posiłków jest moda na karmienie się kaloriami i witaminami, co wkrótce będzie już można czynić za pomocą zastrzyków. Nic dziwnego, że ludziom śpieszno do piekła, gdzie, jak wiadomo, — gospodarze słyną z gotowania i smażenia.

A przyjemności, które dawniej domagały się czynu, dziś zażywa się połowicznie, wzrokiem.

W takim świecie religię zbywa się jako marnowanie czasu, sztuka jest nudna i bezpożyteczna, a romanse, dawniej przywilej bogatych, zwyrodniały i stały się zawodem bezrobotnych.

Jeżeli ktoś zechce po przeczytaniu tych paru wierszy zarzucić mi, że plotę głupstwa, niech sobie wpierw przejrzy spis ostatnich sukcesów literackich i dramatycznych: „Street car named desire", „New England night", „The dead and the naked", i setki innych. Opisy zbydlęcenia ludzi, człowiek w swych najbardziej prymitywnych odruchach, oto, co gwarantuje sukces literacki i finansowy. Człowiek, który krzyczy głośno „ja tego chcę" i co prędzej leci grabić i mordować, jest idealnym bohaterem. Sztuka o żonie, kochającej własnego męża, sztuka w której nikt nikogo nie morduje, zgorszyłaby dzisiejszy świat.

Literatura, film i teatr są poddane tej nowej tendencji. A biedna muzyka nie ma już szans. Wszelkie próby wytwarzania nawet najgorszej tandety szybko konsumowane są przez firmy, a już na „zew płci", na sex eppeal, nie ma rady, chyba tylko w operze. Ale znów jakby Madame Butterfly mogła popełniać harakiri w kostiumie kąpielowym.

Ale nie mówiąc nawet o tendencjach artystycznych: muzyka dziś to nędzny kopciuszek. Nikt nawet nie pomyśli o tym, aby ten kopciuszek mógł się przydać choćby do przebierania maku i popiołu. Kompozytorowie, instrumentaliści i śpiewacy spotykają się w prasie z dziwną oziębłością. Chyba, że jakiś pianista, stając na głowie gra palcami u nóg, a skrzypek budzi zainteresowanie wtedy, kiedy otruł żonę. Ilość gazet na tym świecie, które mają stałych krytyków muzycznych nie przekracza liczby dziesięciu. Reszta zadawala się przygodnymi korespondentami, których krótkie uwagi od czasu do czasu, jeżeli miejsce w gazecie na to pozwoli, drukuje się wciśnięte między wiadomościami o ostatnim morderstwie a sprawozdaniem z pokazu kotów. Słynni muzycy nie mają dostępu na łamy gazet, które zajmują długie opisy pieluszek i smoczków córki Rity Hayworth, albo sprawozdania z wizyty młodej aktorki, której jedyną zaletą jest to, że dobrze wypełnia sobą swetry.

Ileż razy, mając wolny wieczór, zaglądam do gazet, ażeby zobaczyć spis koncertów; przeciskam się przez dwie kolumny teatrów i kin, przez kabarety, psie wyścigi i wreszcie wśród meczów bokserskich znajduję spis cen biletów w Albert Hall'u. Nic więcej. A z czego składa się program koncertowy czy operowy? Tych samych 50 utworów, granych w kółko, tylko w innym porządku. Nie mam nic przeciw tym 50 utworom: są wspaniałe, ale jest 950 innych, których też chciałbym posłuchać, i które niczym nie ustępują oklepanym 50ciu. Po długich poszukiwaniach dowiaduję się od różnych impresariów, że są minimalne szanse na poszerzenie programu; publiczność — jak twierdzą — musi mieć swoją regularną dawkę Symfonii Patetycznej i Sonaty Liszta H-mol, inaczej będzie niezadowolona.

Tymczasem wspomnianych 950 utworów Bacha, Beethovena, Mozarta i innych — nie mówiąc już nawet o nowej muzyce — spoczywają w grobowej ciszy, nawet dla tych, którzy regularnie uczęszczają na koncerty.

Chciałem usłyszeć sonatę Mozarta F-mol. Ponieważ sale koncertowe nic mi w tym nie pomogły, poszedłem szukać jej nagrania na płyty. Znalazłem piętnaście różnych nagrań Brahmsa Pierwszej. Znalazłem przeszło trzydzieści nagrań Drugiej Rapsodii Liszta, włącznie z transkrypcjami na Orkiestrę Dętą Królewskiej Gwardii i na hawajską gitarę. O sonacie F-mol ani słychu. Było jedno nagranie, ale wyczerpane.

Każdy impresario krzyczy na niepopłatność muzyki.

Muzyka tonie w niespokojnych i brudnych wodach nie tylko z winy obojętnej publiczności. Grzeszą i dyrygenci i wirtuozowie, grzeszy każdy impresario.

A więc będę musiał raz jeszcze posłuchać Symfonii Patetycznej i Drugiej Rapsodii. A nuż i tam jest gdzieś ukryty zew płci?

Jędrzej Hierowski

ŻYCIE Katolicki Tygodnik Religijno Kulturalny. Wydaje: Veritas Foundation Publication Centre. Adres redakcji i Administracji: **Polish Weekly ŻYCIE, 12 Praed Mews, London W 2.** Telefony: Redakcja i Administracja: AMB 68 79. Drukarnia: PAD 9734. Godziny przyjęć w Redakcji: Codziennie z wyjątkiem sobót, niedziel i świąt **tylko od godz. 3.30 — 4.30 po poł.** Administracja czynna **codziennie od godz. 9 — 13 i od 14 — 17** — z wyjątkiem sobót, niedziel i świąt. Redakcja **żadnych rękopisów nie zwraca.** W wyjątkowych wypadkach na ew. zastrzeżony zwrot prosimy dołączyć znaczki pocztowe. **Prenumerata** płatna jest z góry i wynosi: **miesięcznie 4/6, kwartalnie 13/-, półrocznie 26 sh. Wszelkie wpłaty** przekazywać należy Postal lub Money orderami, względnie czekami bankowymi **„crossed"** wystawionymi na Veritas Foundation Publication Centre. CENY OGŁOSZEŃ: 1 cal przez 1 łam £ 1; w **tekście** 50% drożej, na stronie **tytułowej** 100% drożej. **Prenumerata zagraniczna: SZWECJA:** miesięcznie 3.50 kr., kwartalnie 10.00 kr. Przedstawiciel: Mgr. Bożysław KUROWSKI. Anggatan 6 c. Lund. Sverige. Sweden. **NIEMCY:** miesięcznie 2.50 DM. kwartalnie 7.00 DM. **ARGENTYNA:** kwartalnie 12 peso półrocznie 24 peso. Przedstawiciel: J. MIECZNIKOWSKI & T. DĄBROWSKI Składnica Książki Polskiej. Av. Leandro N. Alem 641 — Buenos Aires.

Printed by: „Veritas Foundation Press" 12, Praed Mews, London W. 2. Tel. PAD. 9734.